

**10 lat bez
Jana Pawła II**

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 4(224) Żelów, kwiecień 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: o. Eligiusza Dymowskiego, Renaty Grześkowiak, Tadeusza Kijonki, Ryszarda Kubiaka, Rafała Orlewskiego, Janusza Orlikowskiego, Nikoli Simica Tonina, Agnieszki Szpunar, Aleksandra Talarkiewiczza

Andrzej Dębkowski – 10 lat bez Jana Pawła II

Leszek Żuliński – Czarne sonety

Józef Baran – Przystanek marzenie

prof. Maria Szyszkowska – Filozofia codzienności

prof. Ignacy S. Fiut – Wiersze ze świata bajek

Stefan Jurkowski – Zmartwychwstanie codzienne

Andrzej Bartyński – Napijmy się dżinu

Emil Biela – Jeden z Bogów oraz Jak uwolnić z niebytu Jalu Kurka i Kornela Filipowicza

Lidia Kosk – Podróż do minionego oraz Język

Danuta Gil-Łowkis – Stefan (4)

Katarzyna Eremus – Autobiogramem przez Europę (3)

Beata Sudoł-Kochan – „Dzienniki umarłych”

Anna Kisewetter – Filary mojej kultury

Mateusz Koprowski – Dwa mały Zynger

Anna Andrych – Na zdjęciu wciąż żyjemy

Rafał Orlewski – Lekarz - Poeta - Przyjaciel

Wydarzenia, Informacje

Imprezy, Kronika, Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Dzień Kobiet w Różanym Dworze

8 marca w Różanym Dworze Moniki Maciejczyk w Polanicy Zdroju odbyło się artystyczne spotkanie kobiet. Było ciepło i serdecznie, a też pracowicie i merytorycznie. Uczestniczyły tylko Panie. Poetki i pisarki, tłumaczki, przedstawicielki uniwersytetów, artystki. Jednym z punktów spotkania było także ogłoszenie Apelu o Pokój.

Podczas spotkania zostały wręczone różne nagrody, między nimi ta najważniejsza – „Imię Róży” dla Very Kopeckiej, poetki, za całokształt twórczości, pracę na rzecz kultury i przyjaźni pomiędzy naszymi Narodami.

A później już były tylko same przyjemności przy winie i bogato zastawionym stole...



Uczestniczki spotkania w Różanym Dworze

Konkursy

Nagroda „Złotej Róży”

Już po raz drugi Kapituła Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego „Złota Róża”, działająca przy Fundacji Arkona, ogłasza konkurs na najlepszy tom wierszy wydany w ubiegłym roku. Warunek jest tylko jeden. Poeta w chwili publikacji swojej książki nie mógł przekroczyć 41. roku życia. Poza nagrodą pieniężną autor otrzyma także pamiątkowy dyplom oraz obraz znanego malarza. Poetyckie książki ubiegające się o nagrodę, wraz z adresem kontaktowym twórcy, prosimy nadsyłać do 15 lipca br. na adres: Stanisław Grabowski (sekretarz Kapituły) ul. Koński Jar 2/27, 02-785 Warszawa, tel. 691-458-087, e-mail: pozajaidziecko@op.pl.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w sierpniu br., a uroczyste wręczenie Nagrody „Złotej Róży” we wrześniu 2015 roku, o czym laureat zostanie powiadomiony. Z kolei młodzi poeci w wieku 14-18 lat mogą ubiegać się o stypendium literackie w roku szkolnym 2015/16. Warunkiem jest nadesłanie własnych prac literackich (poezja lub proza) na adres jak wyżej. Tam także można uzyskać wszelkie informacje dotyczące konkursu i stypendiów.

XXIII

Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marka Hłaski

Organizatorami konkursu są: Stowarzyszenie Wszestronnego Rozwoju „NA SKRZYDEŁACH MOTYLA” w Chorzowie, Młodzieżowy Dom

Kultury w Chorzowie i Port Poetycki w Chorzowie.

WARUNKI UCZESTNICTWA:

1. Na adres organizatora należy przesłać własne, niepublikowane i nienagradzane, w czterech egzemplarzach: trzy utwory poetyckie i/lub jeden utwór prozatorski do 10 stron maszynopisu. Należy również dołączyć podpisaną płytę CD lub DVD z pracami zapisanymi w programie Microsoft Office WORD, w celu przygotowania publikacji.
2. Tematyka prac jest dowolna. Prace muszą być pracami własnymi, wcześniej nienagradzanymi i niepublikowanymi. Prace nie mogą być publikowane w formie książki, antologii, druku w czasopiśmie lub e-booku. Wszystkie nadesłane prace powinny stanowić wydruk komputerowy.
3. Prace powinny być napisane czcionką Times New Roman, rozmiar-12, odstępy między wierszami -1,5, margines dolny, górny oraz boczny-2,5 cm.
4. Każda nadesłana na konkurs praca powinna być oznaczona godłem (słowo lub wyrażenie będące umownym znakiem autora, nie może to być znak graficzny). Do prac należy dołączyć kopertę opatrzoną tym samym godłem autora. W kopercie należy umieścić podpisane oświadczenie* oraz krótką informację o autorze, która musi zawierać: imię i nazwisko, datę urodzenia, dokładny adres, telefon, e-mail.
5. PRACE, KTÓRE NIE BĘDĄ SPEŁNIAŁY WYŻEJ WYMIENIONYCH WYMOGÓW BĘDĄ ODRZUCANE!
6. Koszty przygotowania i dostarczenia prac oraz koszty przyjazdu na uroczyste wręczenie nagród ponosi uczestnik konkursu.
7. TERMINY: Prace należy przysyłać do 10 kwietnia 2015 r. (decyduje data stempla pocztowego), na adres: Młodzieżowy Dom Kultury ul. J. Lompy 13; 41-500 Chorzów, z dopiskiem „Konkurs Literacki im. Marka Hłaski”.
8. O uroczystym rozstrzygnięciu konkursu, które nastąpi 14 czerwca 2015 r. w Młodzieżowym Domu Kultury w Chorzowie organizatorzy poinformują laureatów pisemnie lub telefonicznie.
9. NAGRODY: Powołane przez organizatorów jury dokona oceny nadesłanych prac oraz zdecydowanie o podziale nagród.
10. Jury ma prawo odrzucić prace, które wskazywałyby na przywłaszczenie sobie niematerialnych dóbr intelektualnych osób trzecich.
11. Organizatorzy przewidują nagrody pieniężne dla laureatów I, II i III miejsca w dziedzinie prozy oraz I, II i III miejsca w dziedzinie poezji oraz wyróżnienia w obu kategoriach.
12. Laureat pierwszego miejsca w dziedzinie poezji zaprezentuje się jako gość główny podczas XII edycji „Portu Poetyckiego” organizowanego w Chorzowie.
13. USTALENIA KOŃCOWE: Zgłoszenie prac do konkursu jest równoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych do celów organizacyjnych Młodzieżowego Domu Kultury oraz zgody na nieodpłatne prawo do rejestracji prezentacji dowolną techniką zapisu i na publikację wizerunku (zdjęć i nagrań wykonanych podczas imprezy) do celów edukacyjnych i promocyjnych oraz zastrzegają sobie prawo do publikacji wyróżnionych utworów w materiałach promocyjnych, prasie lokalnej, na stronie internetowej MDK, na profilu społecznościowym Facebook oraz na stronach internetowych instytucji współpracujących.
14. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac, stają się one własnością organizatora.

15. Sprawy nie ujęte w regulaminie rozstrzyga organizator.
16. Administratorem danych jest Młodzieżowy Dom Kultury w Chorzowie.
17. Koordynator imprezy: Justyna Kenig (sekretariat@mdkchorzow.pl)

OŚWIADCZENIE

Oświadczam, iż przekazane prace konkursowe nie były wcześniej nagradzane i publikowane oraz nie naruszają majątkowych i osobistych praw autorskich osób trzecich. [Podpis uczestnika konkursu].

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. ks. Jana Twardowskiego

1. Organizatorem Konkursu jest Gminna Biblioteka Publiczna im. ks. Jana Twardowskiego w Jabłonnie wraz z Filią Biblioteki Gminnej w Chotomowie.
2. Celami konkursu są: Popularyzacja twórczości literackiej, Rozwijanie wyobraźni twórczej, zdolności i zainteresowań literackich, Rozbudzenie zainteresowań twórczością poetycką wśród dzieci i młodzieży, Wyłowienie talentów literackich, motywowanie do pracy nad własnymi zdolnościami, spotkanie i integracja środowisk twórczych oraz stworzenie wydarzenia literackiego, promocja uzdolnionych twórców poprzez druk nagrodzonych utworów w lokalnej prasie.
3. Konkurs ma charakter otwarty i mogą w nim brać udział wszyscy zainteresowani bez ograniczeń (wiekowych, terytorialnych itp.).
4. Konkurs podzielony jest na trzy kategorie wiekowe: dzieci, młodzież i dorośli.
5. Warunkiem uczestnictwa w Konkursie jest nadesłanie na adres organizatora wierszy dotąd niepublikowanych i nie nagradzanych w innych konkursach a także nie publikowanych w sieci. Jeden autor może nadesłać maksymalnie 5 utworów.
6. Utwór w 4 egzemplarzach, należy opatrzyć godłem (pseudonimem), do pracy należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną takim samym godłem, zawierającą kartkę z danymi personalnymi autora (imię, nazwisko, wiek, adres, numer telefonu, adres poczty email).
7. Prace należy składać od 15 lutego 2015 r., do 15 maja 2015 r. w Gminnej Bibliotece Publicznej, bądź przysyłać na adres: Gminna Biblioteka Publiczna im. ks. Jana Twardowskiego; 05-110 Jabłonna, ul. Modlińska 102 (z dopiskiem „Konkurs Poetycki”).
8. Prace zostaną ocenione przez Jury powołane przez Organizatora. Organizator nie zwraca prac złożonych na konkurs i zastrzega sobie prawo do wykorzystania utworów konkursowych we własnych celach, m.in. w celu publikacji.
9. Zgłoszenie utworu/utworów do Konkursu jest równoznaczne z oświadczeniem, że jest to utwór własny, niepublikowany i nienagradzany w innych konkursach, a także z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych autora pracy w celach promocyjnych niniejszego konkursu.
10. Koszty przygotowania i dostarczenia prac oraz dojazdu na finał konkursu pokrywają uczestnicy.
11. Laureaci Konkursu otrzymują nagrody rzeczowe (dzieci i młodzież) oraz finansowe (dorośli), ufundowane przez Organizatora i ewentualnych sponsorów.
12. Dodatkowe informacje o konkursie można uzyskać pod numerem telefonu: 22 782-48-91 lub pod adresem email: bjab@wp.pl

Lidia Kosk

Podróż do minionego

Mówiono o tym autorze, jeśli w ogóle mówiono, gdyż ciszą unicestwić najprościej: „nie ma takiego mocnego, który sam stworzyłby tak wielkie dzieło, wspierany tylko przez jedną osobę”. Ale ta jedna, wspierająca go osoba, była mu najbliższą towarzyszką życia. Z nią był mocny. Razem byli mocni. I o nich jest to wspomnienie.

Zacząło się ponad 70 lat temu. Tak naprawdę minęła od tego czasu cała epoka i trzeba odbyć daleką podróż do minionego.

Lato znaków na niebie

Okna wypełniły się czerwonym blaskiem, który zalał wnętrze domu. Przebudzeni rodzice podbiegli do okna w strachu, że to pożar. Jednak budynek naprzeciwko ciemniał dużą bryłą; wokół niego rozlewał się czerwony płomień. Patrząc, nabierali przekonania, że to zjawisko nadprzyrodzone – znaki na niebie napełniające grozą i zapowiadające coś strasznego. Obudzili najstarszą córkę, aby mogła ten widok zapamiętać. I zapamiętała na zawsze. Początkowo, wyrwana ze snu, widząc za oknem płomienie rozszerzającego się ognia nie rozumiała dlaczego rodzice nie starają się go gasić. Dopiero, gdy wybiegła przed dom dotarły do niej słowa matki o znakach na niebie zwiastujących wojnę. Czerwień o odcieniu krwi była tłem, na którym jawił się wielki biały orzeł. Jakże wyraźnie widziała szczegóły: pióra skrzydeł, pazury, dziób i oczy: wielkie, wyraziste, patrzyły na nią przejmująco. Po dłuższym czasie orzeł zmienił się w olbrzymi gorejący krzyż oraz ogniste słupy. Zjawisko trwało długo, ludzie widzieli je w różnych zmieniających się fazach, zależnie od momentu przebudzenia. Rodzice najbardziej zapamiętali wielki gorejący krzyż, ogarniający płomieniami niebo i ziemię. Będzie wojna, powiedzieli równocześnie.

„Wojna” – to słowo, równie nieznanne jak gorejący znak na niebie poraziło młodą dziewczynę. Ogarnęła ją rozpacz, podobna do tej rok później, gdy w pierwszych dniach wojny zginął jej narzeczony.

Wpatrzona w sylwetki rodziców na tle czerwieni pomyślała wtedy: dobrze, że małe siostry śpią. Wśród nich spała i Ligia, nieświadoma znaków, które przepowiadały losy kraju, jej rodziny i człowieka, o którego istnieniu nie miała jeszcze pojęcia. O najważniejszym w jej życiu człowieku, z którym przeżyje ponad 53 lata.

Minął rok.

Wybuchła wojna.

Uczestniczył w niej przyszły mąż Ligii,

współbohater niniejszego wspomnienia.

Siedemnastoletni chłopak z nadbużańskiej wsi, harcerz, patriota o gorącym sercu i gorącej głowie, zgłosił się do wojska na ochotnika. Chciał być obrońcą ojczyzny. To nie był patos – tak myślała wówczas młodzież polska, a on był przecież uczniem Drohiczyńskiego Gimnazjum. Inaczej było w okolicznych wsiach z przeważającą ludnością białoruską. Powszechna bieda, złe traktowanie przez lokalną administrację oraz propaganda komunistyczna i nacjonalistyczna zaowocowały obojętnością i brakiem patriotyzmu. Tak, że ów ochotnik był jednym z niewielu w okolicy. Pełen optymizmu i oddania, zakończonego porażającym przeżyciem zmasowanego bombardowania, rozproszeniem jednostki ochotników i poczuciem klęski. Potem była partyzantka, ciągłe próby walki zbrojnej, wreszcie żołnierski mundur i walki frontowe zakończone w Berlinie. Wraz z końcem wojny poczuł, że spełnił swój patriotyczny obowiązek. Jeśli będzie potrzebny zgłosi się. O służbie zawodowej nie myślał. W gorącej wciąż głowie powstało marzenie o studiach na wydziale architektury, o Politechnice. Nie spełniło się.

Rozkaz pozostania w wojsku stał się przyczyną późniejszych wlotów i upadków. Początkowo wykorzystano jego patriotyczne zaangażowanie. Był potrzebny ojczyźnie w wojsku. Próby dyskusji?

W wojsku rozkaz wykluczał wszelką dyskusję. Tak został wywodowym oficerem. Zdolny i zaangażowany, zyskiwał uznanie zwierzchników i osobistą satysfakcję. Brakowało mu jednak umiejętności milczenia. Także jego inteligentne ciągoty do studiów nie przysporzyły mu sympatii decydentów i zostały wykorzystane przeciwko niemu, gdy uznano go za kłopotliwego, a następnie za wroga ludu. Ale nim to nastąpiło, młody, pełen entuzjazmu człowiek, rzucił się w wir pracy i obowiązków, pochłaniał książki i szybko polubił życie w wojsku.

„0 roku ów” – 1948

W stulecie Wiosny Ludów, również wiosną, młody, świeżo upieczony kapitan stanął ze swoją jednostką w Lublinie. Na przyjęciu poślubnym jego oficera (który, jak los chciał, żenił się z cioteczną siostrą Ligii) spotkali się ci dwoje, bowiem „musiało się spotkać takich dwoje”. Te słowa powiedział jej po raz pierwszy ponad pół wieku później, w czasie swojego przedostatniego pobytu w szpitalu. Powtórzył je podczas ostatniego pobytu w innym

szpitalu, przy pożegnaniu wieczornym, które okazało się pożegnaniem na zawsze.

To był właśnie on, o którym nie wiedziała, że istnieje, gdy znaki na niebie zapowiadały krwawą wojnę. O owych znakach oraz o nim dowiedziała się z upływem czasu. Wszystko to zdarzyło się tak niedawno, a w jakże innej epoce jej życia. Ale ona przecież była i do niej chce wrócić w jedyny możliwy sposób.

Nieukończono 20 lat, nowiutka studentka czapka pieczętująca rozpoczęcie wymarzonych studiów, z jednoczesną kontynuacją pracy, czyniły ją poważną. Jej ocena posadzonego obok oficera nie była łatwa. W mundurze z poligonu, po kielichu dla odprężenia i kurażu, podpadł jej w pierwszej chwili, ale reszta działała już na jego korzyść. Okazał się nieprzeciętnie odczytany, z pasją do zdobywania wiedzy. Mieli podobne zainteresowania. Szybko się rozszyfrowali. Wszystko potem następowało szybko. Odprowadzając ją po przyjęciu, oświadczył się – jak się okazało, na poważnie. Przy następnym spotkaniu poprosił o decyzję, chcąc jak najszybciej wystąpić do dowództwa o wymaganą zgodę na małżeństwo.

Stracił instynkt samozachowawczy – jego wybranka była świeżo upieczoną studentką Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, niepartyjna i niezapowiadająca się w tym kierunku, z wierzącej rodziny. Wszystko to nie było wówczas korzystne dla kariery wojskowej, a on zdążył już pokochać mundur. Zgodę dostał, ale z czasem zaczęły się kłopoty zawodowe i polityczne. Szykany rozszerzały się, wróciła sprawa formacji partyzanckiej. Doszły jednocześnie kłopoty ze zdrowiem, bo odezwały się kontuzje frontowe. Jego kariera wojskowa zakończyła się wilczym biletem politycznym, długo bez możliwości zatrudnienia. Wcześniej jeszcze, z obawy, by żona nie rodziła drugiego dziecka w więzieniu, za poradą życzliwych kolegów stworzył fikcję literacką jakichś swoich zasług. Jeszcze w 1954 roku musiał się tłumaczyć z „wroga ludu” i grożono mu więzieniem. Fikcję przyjęto za prawdę nie dlatego, że była wiarygodna, a prawdopodobnie dlatego, że miała świadczyć o „złamaniu” go. Gdy po latach żona dowiedziała się o tym miała mu to za złe, bo gotowa byłaby przejść przez więzienie. Takie były czasy i z tym się żyło, a „oni” wciąż jeszcze byli wszechmocni: gdy już nie mogli szkodzić, udostępnili wymuszone materiały nowym organizacjom politycznym. Popularny polityk polski nazwał to „zemstą z za grobu” służb specjalnych.

(Dokończenie na stronie 4)

Podróż do minionego

(Dokończenie ze strony 3)

Bohaterowie tego wspomnienia przeżyli razem ponad pół wieku, wychowali dwie wspaniałe córki, które wraz ze swoimi „trzem budrysami” pielęgnują patriotyczną i historyczną działalność rodziców. Wnukowie poszli w znacznym stopniu śladami dziadka, który obdarował ich swoimi różnorodnymi zainteresowaniami. Wystarczyło na każdego, od nauk ekonomicznych, zamięłowania i zdolności do języków obcych i zainteresowania Politechniką, do studiowania i tworzenia dzieł historycznych. Autor dwutomowej książki *Generalicja Polska: popularny słownik biograficzny* nie zdążył jednak przeczytać recenzji swojego dzieła napisanej przez wnuka, profesora historii. Historia tej rodziny jest częścią naszej niełatwej historii ojczystej.

Lidia Kosk



Jeżyk

Mogło to być tak, trochę jak w bajce:

Mały Jeżyk, bardzo senny, na próżno zaciskał powieki. W momencie, kiedy już, już sklejał je sen otwierało je głośnie łomotanie za ścianą, przy której stało jego łóżeczko. Wokół domu szalała śnieżna burza. Rozlegały się trzaski, zawodzenia wiatru, wycie wilków i uderzenia w ściany domu. Te ostatnie coraz mocniejsze.

Niania Ksenia wyrzucała z siebie coraz głośniejsze słowa, których dźwięk, podobnie jak odgłosy nocej burzy, przeszkadzał chłopcu zapaść w sen. Gdy otwierał oczy patrzyły na niego kwadraciki szyb z zakratowanych okienek: raz czarne to znów białozłociste.

– Zaraz strzeli piorun – wyjęczała Niania. W zimie piorun rzecz niezwykajna...

– Błyska się, chciał poprawić ją Jeżyk, jak to czyniła nieraz Mama, ale w tym momencie sen spadł na niego razem z grzmotem.

Obudziły go dwa czerwone ogniki gorejące za oknem na przeciwko jego łóżka. Wydawało mu się, że stopią szkło okien i zaraz go poparzą.

Niania Ksenia wyszeptwała z przerażeniem: – Wołk, on, tot-że.

Oszy za oknem jakby szukały wzroku Jeżyka; odczuwał siłę ich przyciągania. Poczł pragnienie poznania tego czegoś, czy tego

kogoś za oknem.

Niania zrozumiała, że nadszedł czas. Zagłębiła się w fotel dotykający niemal okrywającej go pierzynki i zaczęła opowiadać:

– Była mroźna, szalejąca śnieżną burzą noc, taka jak teraz. Dookoła domu krążyło stado wilków. Były tak głodne, że wyważyły drzwi stajni i pożarły konie. Następnie zaczęły walić łbami w drzwi tego domu, który wtedy był własnością Fiodora Maksymowicza, wysokiego urzędnika carskiego. Właśnie nadszedł czas rozwiązania u jego żony. Może z powodu złej pogody oczekująca dziecka kobieta czuła się coraz gorzej. Wezwany „specjalnym” medyk, mimo wzbraniania się przed wyruszeniem w tak straszną noc, został zmuszony przez kozaków przydzielonych mu jako asysta. Kozacy osłaniający sanie z medykiem nie byli w stanie zmusić zacieklej hordy wilków do odstąpienia od drzwi domu. Strzelając mogli narazić na niebezpieczeństwo mieszkańców. Na zewnątrz tkwił przerażony, bezradny medyk, a w środku jeszcze bardziej przerażona rodząca kobieta. Nagle rozległ się potężny trzask, drzwi ustąpiły i do wnętrza wtargnął wielki, przewodzący stadu, wilk-basior.

Niespodziewanie między łóżkiem z rodzącą kobietą, a rozwścieczonym zwierzęciem wyrosła ludzka postać. Zakolysała się i znieruchomiała. Przez moment mierzyli się wzrokiem, człowiek i wilk. Błysk oczu człowieka raził jak miecz. Uprzedzając skok wilka, człowiek zanurzył w jego rozwartej paszczy rękę i wypychał ją co raz głębiej. Oczy wilka traciły blask, męczyzna odepchnął go z niespodziewaną siłą, nadal przeszywając wzrokiem. Zwyciężone zwierzę charcząc wycofało się, zabierając ze sobą stado, z którego kilku osobników już wtargnęło do wnętrza za przewodzącym basiosem. Doktor zdążył szczęśliwie pomóc rodzącej, uwalniając noworodka z więzów pępowiny, a krzyk przychodzącego na świat zagłuszył wycie oddalających się wilków.

Szczęśliwy ojciec, odzyskując swoją doświadczenie, zapytał pogromcę basiora:

– Kak ciebia zowut? – i nie czekając odpowiedzi, ciągnął – wołk uwyskyj z ciebia.

Fiodor Maksymowicz używał, zwłaszcza w sytuacjach niecodziennych, powiedzenia „uwy” z dziwną końcówką, w czego wynikało owo „uwyskyj”. I tak wybawiciela, nieznanego, nie widzianego tu wcześniej człowieka, nazwano Wołkuwyskij. Wędrowiec przyjął bez zbędnych wyjaśnień nadaną mu godność, modyfikując ją nieco na Wołkowicki.

– To był twój ojciec – powiedziała niania Ksenia uroczystym szeptem i jeszcze dodała:

– Może był polskim powstańcem wracającym z zesłania?

Jeżyk słuchał, wpatrując się w ogniki oczu wilka za oknem. Po raz pierwszy przełamał w sobie strach. Postanowił, że odtąd nie będzie

już mu się poddawał w żadnej sytuacji i że zawsze będzie walczył.

Mogło się to wszystko zdarzyć właśnie tak, podobnie, lub zupełnie inaczej. Ojciec Jeżyka mógł znaleźć się tam właśnie po powstańczych zawieruchach.

Asumpt do opowiadania dała mi lektura biografii w dwutomowym dziele zatytułowanym *Generalicja polska: popularny słownik biograficzny*. Autor Henryk Piotr Kosk napisał we wstępie do pierwszego tomu, że słownik ma służyć m. in. popularyzacji naszej niełatwej, a dla cudzoziemców niezrozumiałej historii, w dużej wszak mierze tworzonej przez żołnierzy. Źródłowe dane biograficzne późniejszego gen. brygady Wojska Polskiego Jerzego Wołkowickiego zaczynają się od informacji o karierze wojskowej w marynarce wojennej carskiej Rosji po maturze, którą uzyskał w Grodnie w 1901 roku. Rozgłos i uznanie przyniosła mu odmowa kapitulacji resztek floty rosyjskiej pod Cuszimą, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej 1905 roku, gdzie służył jako miczman (chorąży marynarki), na pancerniku w eskadrze admirała Niebogotowa. Opisał to znany marynista Nowikow-Priboj w powieści „Cuszima”. Prawdopodobnie słynne ówczesne „niezdawatsia” (nie poddawać się) młodego chorążego, uratowało go, generała wojska polskiego po odzyskaniu niepodległości, przed kaźnią w Katyniu w 1940 roku. Internowany w Kozielsku, przeniesiony do obozu w Ostaszkowie, zapytany kpiąco przez przesłuchującego NKWDzistę, czy przypadkiem nie jest tym Wołkowickim spod Cuszimy odpowiedział dobitnie „tot że sam” (ten sam).

Lidia Kosk

Henryk Piotr Kosk, *Generalicja polska: popularny słownik biograficzny*, współpraca autorska Lidia Kosk, Tom I: A-L, Pruszków: Oficyna Wydawnicza „Ajaks”, 1998, (ze wstępem zawierającym rys historyczny, zakres czasowy, rzeczowy i tematyczny, s. 305, ze zdjęciami generałów).

Henryk Piotr Kosk, *Generalicja polska: popularny słownik biograficzny*, współpraca autorska Lidia Kosk, Tom II: M-Ż, Pruszków: Oficyna Wydawnicza „Ajaks”, 2001, (s. 303 plus suplement *Generaliowie mianowani po roku 1980* s. 304-311).



MNIJ WIĘCEJ (122)



Foto: Zofia Mikula

Czarne sonety

Tadeusz Kijonka trzyma nam się dzielnie. Jesienią dożył do 79. roku życia, ale wiosłuje, żeglując przez czarne morze swojej śląskiej ziemi z werwą i węgą. I chyba z rosnącym sentymentem. Ten tomik – wydany luksusowo, w twardej oprawie, na kredowym papierze – jest hymnem na cześć matczynika, w którym poeta od lat wydeptuje swoje ścieżki – to Brynów, dzielnica Katowic.

LESZEK ŻULIŃSKI

Wszyscy w coś wrastamy, gdzieś zapuszczamy korzenie, na starość jest to nasz twardy grunt i poręcz, która nie pozwala pomylić drogi. No i ten zbiór to 44 sonety. Hm, czterdzieści cztery? Czyżby przypadek? Nie wiem, ale wszelkie tego typu fluidy przez polskie ucho nie przemykają obojętnie. No i ten Duda-Gracz – jego obrazami ilustrowany jest tomik. Wszystko tu śląskie, rudymenarne, nie przypadkowe... A sonet? Forma klasyczna, doskonała, harmonijna – synteza ładu i utrwalonego porządku.

Trochę zaczęła mi się przypominać sylwetka Starego Poety z Iwaszkiewicza. Nie wiem do jakiego stopnia w Kijonce nie wygasł hedonista, jakiego wечно w sobie hołubił; mnie wiem, jak pogodził się z atrofią starego świata, nie wiem, czy jeszcze śni mu się, jak siedzi z Wilusiem Szewczykiem nad wielką górą golonki, ale widzę jak w tych sonetach człapie przez swój Brynów pogodny i „zharmonizowany”. Dobrze, że w Polsce mamy jednak coś na kształt Gaju Akademosy, po którym przechadzają się starzy poeci i żaden wiatr w plecy wciąż ich nie przewraca. Burze już śmigają tylko dolnymi partiami, gdzie poetycka młodzież jeszcze wyraża pięć i rwie się do fechtunku.

Posłuchajcie sonetu zatytułowanego *Do szpiku: Czas zamknąć się w sonecie jak w wymarłym domu, / Z pustą kartką naprzeciw*

by z sobą się zmierzyć / Po rdzeń szpiku – gdy tylko od ciebie zależy / Równanie ostateczne serca i rozumu. // Z prostokąta tej kartki – celi swej – nikomu / Ni słowa przed spisaniem tego co powierzyć / Masz w zeznaniach sonetu, nim w serce uderzy / Lęk przed sobą, mózg zamrze pod grozą pogromu. // I stało się: znów widzisz miejsca porzucone – / Są ci co skarżyć będą, bądź wniosą obronę. // A zanim słowo w słowo wszystko się okaże, / Nim opadną wskazówki martwe na zegarze, / Patrz jak w życiu po życiu szczęki zwiera sonet.

Czysty introwertyzm! Wygnanie w sonet! Piękne to „więzienie”. Sonet jako kokon, jako cela, jako ostatnie schronienie. Jest w tym jakaś ucieczka od świata; zapewne też zmęczenie światem. Tadeusz Kijonka żył niezwykle aktywnie, kreatywnie, „zamaszyście”. Ten „dom starca” buduje sobie teraz sam. Ale to nadal jest żywa inwencja. Tyle że już wchodząca w dialog z samym sobą i czyniąca rachunek zmęczenia.

Tom zwieńczony jest posłowiem Edyty Antoniak-Kiedos, osoby znanej na Śląsku, która obecnie pisze pracę doktorską o Kijonce. Pani Edyta daje tu mały wykład na temat sonetu. Co do Kijonki przypomina, że poeta podjął wyzwanie sonetu w latach 2009 i 2012 na łamach „Twórczości”. W końcu pada konkluzja: „*Sonety brynowskie*” ułożone w cykl „44” są wspaniałym zwieńczeniem twórczości śląskiego poety. Dojrzałe, przemyślane, wycelowane w każdym najdrobniejszym szczególe są tyleż osobiste, co uniwersalne. Wynika to ze strategii pisarskiej poety, z jego dbałości o słowo, o rytm i rym, z wrażliwości na dźwiękową stronę wiersza. Ja zadaję sobie pytanie, jak długo jeszcze ten model wrażliwości przetrwa? Dykcje młodych poetek już coraz dalej odchodzą od modeli klasycznych. Poezja się prozaizuje, a model tzw. „mowy związanej” zaczyna być anachronizmem. Zapewne tu i ówdzie jeszcze wychynie jakiś tradycjonalista, ale – moim zdaniem – będą to już tylko „wybryki natury”.

Kijonka należy do generacji, która jeszcze spina jako tako „starą” i „nową” poezję. Ale ten pomost skrzypi i chwieje się. Czy naprawdę może się zawalić? Nie wiem, nie wiem – czas pokaże...

Jak na razie ten tomik jest pokrzepiający, bowiem Kijonce udało się trącić piękne struny. Antoniak też słusznie zwraca uwagę, że Kijonka pozostał wierny swoim rudymenarnym wątkom. A więc „śląskość” tych wierszy, a więc pogłosy romantyzmu, a więc tonacje ojczyzniane i patriotyczne, a więc „toposy polskie” i echa polskiej historii...

Moim zdaniem ponad tym wszystkim przebija się w tych wierszach mocno słyszalna nuta egzystencjalna. Jeszcze raz Antoniak: ten cykl to swoistego rodzaju testament. Owszem, i ta nuta mnie tu szczególnie „prześladowała”. *Niegdyśjsze śniegi z Villona* wszystkim nam prędzej czy później spadną na rzeszę... A klasyka kultury odmłodnieje, bowiem tam są

matryce, które – nawet zapomniane – przypomną się, gdy przyjdzie na nie pora.

Posłuchajcie sonetu pt. *W ogień: A co z sercem, co z sercem – ono będzie biło / W tym wierszu co zamiera w zgrzebnym rękopisie. / Dotknij: w starganych słowach jeszcze życie tli się, / Lecz jak długo – gdy tętno z coraz mniejszą siłą. // Śmierć wiersza – cóż takiego w końcu się zdarzyło, / Ileż wierszy przetrwało których czas nie wysiekl? / Wiersz jak wiersz: tren czy sonet co rymami skrzy się - / Gruzowski poezji jest bo zawsze było. // Nie, nie kończ tego wiersza – czy wiesz co się stanie? / Skąd słów zerwą się strzępy by dopaść swych racji, / Skoro dotąd się zmagasz z tym samym pytaniem. // Rękopis zmięty w ogień!... Czas na akt kremacji, / Bo i cóż serce pocznie gdy rozpacz oslepi? / Nie pisz tego sonetu, nie pisz, nie pisz, nie pisz.*

Tu się dzieje jedna arcyciekawa rzecz: te sonety często uderzają w nutę autotematyczną, ale ona z kolei przenosi się właśnie na uogólnienie egzystencjalne. Tadeusz Kijonka cudnie rozegrał te róże poziomy. Cudnie i czule! I mam tylko jedno zastrzeżenie: interpunkcja tu hula, jak chce. Gdzie był redaktor tomu? Ale nic to – rzecz pozostaje poetycką arcyrzeczą!

Tadeusz Kijonka, „44 sonety brynowskie”. Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2014, s. 108.

Tadeusz Kijonka

Popiół

Znów dopala się jesień, żar złota dogasa
I stygnie wiotki popiół w posiwiałych
włosach.
W ustach jak posmak życia wciąż ten żółci
osad:
Chłopcy, kto z was się ostał, gdzie ta nasza
klasa?...

Gdzie się wszyscy rozeszli, wiatr błąka się
w lasach,
Gdy żarna chmur ścierają się w mrocznych
niebiosach,
Co zdjęcie, cały rocznik złożony w pokosach.
Nikt nie dzwoni, nie pisze, na bal nie
zaprasza.

Przepaliła się jesień, w krąg liście skruszałe,
Zetlałe wiciokrzewy, miecze tataraku...
Czy nie czujesz co we śnie dzieje się z twym
ciałem?

Nie miej złudzeń, zbyt wiele dokoła tych
znaków.
Może to już ostatnia twa jesień biedaku,
I w pół przerwany sonet z trwogi oniemiały.

o. Eligiusz Dymowski

Czas przemienienia

A jeśli kiedyś dno zobaczysz
swojego życia

to On na pewno ci wybaczy
gdy Iżę wylejesz

bo Zmartwychwstał

Przebudzenie

Widzisz już wiosna
słońce wyżej
i wokół trawy się zielenią
zrywamy bukiet pierwszych kwiatów
by być przez chwilę z sobą bliżej

Powoli ptaki powracają
śpiewem swym budząc ranną zorzę
a w nas marzenia w nas tęsknota
za szczęściem które było w Raju

Na Dzień Zmartwychwstania

Wstąp tutaj, a to ci ukażę,
co potem musi się stać.
(Ap 4, 1)

A kiedy przyjdzie nam zrobić
rachunek sumienia
wszyscy pokorniejemy
gdy Światłość zbyt wielka
i nie da się ukryć grzechów
pod cieniem kamienia
bądź więc naszym ratunkiem
nadziejo wielka!

Nim staniesz się snem

moje miasto jesienią
płonie kolorami
złota brązu czerwieni i smutku

spaceruję samotnie w parku
pośród starych drzew

wstępując w obszar mgły
odkrywaniem deszczowym wzrokiem
że spadające liście
umierają tak samo cicho
jak nasze życie
chore na nostalgię

Do Bogarodzicy z Bronowic Wielkich

Matko Jezusowa w bronowickiej sukni
tetmajerowska polska nasza

Pani nadziei na trudne czasy
przytul
pociesz
i dodaj sił w codzienności
by miłość choć kulawa
wierna była Bogu

Malowanie szczęścia

Kiedy usiądziemy w ogrodzie przed domem
spełnieni marzeniami jak para kochanków
wtedy gwiazdy rozjaśnią naszą mleczną drogę
aby wrócić szczęśliwie o brzasku poranka –

do zwykłych codzienności tęsknych
zapatrywań
do myśli które wcale nie muszą być płochę
aby dzielić się wspólnie najdrobniejszą chwilą
i być zawsze dla siebie... a nie tylko trochę...

Kiedy umiera poeta

Pamięci ks. Jana Twardowskiego

Kiedy umiera poeta
nie idźcie w żałobnym orszaku
posępni
bo niebo ramiona otwiera

Kiedy umiera poeta
uderzcie w bębny
niech się obudzi nadzieja
zakłeta w modłach
o Szczęściu

Kiedy umiera poeta
dopiero tak naprawdę
budzi się życie
w wierszach

Na marginesie Psalmu 130

Przywróć mi znowu prostą wiarę
by nie pogubić ścieżek życia
niech błękit nieba pozostanie
choćby przez chwilę –
ale niebem

Gdy usta zadrzą przy modlitwie
niech Twoje Słowo je napelni
bo tylko wtedy pojmę prawdę
siłę upadku –
chleb powszedni

Taka smutna piosenka o szczęściu

Bo czasem smutno nam
i wtedy niebo płacze
w dłoniach chowamy twarz
by nikt nas nie zobaczył

i nagle czuję że
przepływa dobra myśl

mych marzeń budzisz sen
ten najpiękniejszy z chwil

wyrwanych szczęściu bo
warto dla szczęścia żyć
nawet gdy jest za mgłą
przemienia w diament Iży

Otwieranie przestrzeni

rozpisuję codzienność
myślami

nadzieja jak poranna mgła
delikatnie unosi każde słowo

na patynie wiary
w bólach rodzi się miłość

pod zamkniętymi powiekami
szczęście otwiera
przedsmak nieba

* * *

A jeśli nam zabraknie sił na pożegnanie
z wiatrem odejźmy
niech nastanie cisza

to co najpiękniejsze rodzi się w milczeniu

w ogrodach nasze kwiaty będą się kołysać
księżyc Iży w kielichy zbierze
zwiewne płatki życia

Jeszcze jeden zmierzch

Wszystkie rozkoszne powaby tej ziemi
nie dadzą duszy spokoju.
Św. Jan od Krzyża

A kiedy zbudzi mnie ta noc
bez gwiazd księżyc i nadziei

to będzie koniec
wszystkich marzeń

lecz jeszcze Ty
jeden wielki
możesz mą wiarę opromienić

Kiedy

umierasz we mnie
bo grzech tak wielki
że w ziemię wgniata

a ja
osuwam się na kolana
by Miłość wypłakać



Janusz Orlikowski

List do zdrowia

zdrowie – dotykam twoich życiodajnych
dłoni
i palce niech twoje zagną się na moich...
w ciszy
a tam – słyhać tylko oddech spokojnego
nieba
dobry uchwyt dla dni które mi zostały

blichtr pieniądze i władza
z nimi ci nie po drodze
to nie twoja przystań
gdy z pożądań kurczy się doba
i jak kij pchnięty w mrowisko
to ciągle – co dalej?
gdy mrówki zakręcone w sobie

ten pozew adrenaliny o rozwój
gdy stoisz sobie na przeszkodzie?
bo ty przecież możesz?

pieniądze i władza
obydwa końce tego samego kija
tak samo bolą
blichtr skurczy się jak nic
i nikt o nim nie powie

wiem i dlatego zdrowie
dotykam twoich życiodajnych dłoni
palce niech twoje zagną się na moich

moja głowa niech opowiada to twojej

Tylko

tylko grafomani umierają szczęśliwi
po cóż więc drążyć szukać – pytam?

bo jednak słowo kiedy źle użyte
błaznem jest co nie znalazł króla

wpadła mu czapka gdyż głowa za mała
z nadmiaru szczęścia tu na ziemi raj

i nie jest jak dziecko które nieświadome
uczy się mówić później czytać i pisać

Zdania o miłości szczęśliwej

żonie

myśli o Tobie nie kojarzą marzeń
wspomnieniom umykam w zacisze ramion
mam wrażenie że nie dotyka mnie czas

moje ciało pachnie Twoim ciałem
przez pomyłkę ubrałbym stringi
rozbawiłem tym wszystkie dobre anioły

nasza sypialnia jest ogrodem

skóra z węża zawisła na ścianie
przypomina że tu tylko teraz

pożądanie nie doskwiera głowie
jabłko toczy się i toczy
w nieobecny cel

kontemplacja rozkosz duszy i ciała
cichy słownik mało znanych słów
tantryczny smak zapach i dotyk

Pytania

кто pokusi się o Dobro o którym nauczał
Jezus?

komu będzie dane i czy to możliwe?
wszak o szczęściu ludzkości się mówi

czy prawda zbyt wczesna bo nazbyt już
stara?

gdy mówią władcy świata czy mają
w pamięci?
wezmą pod rozwagę tak jak się bierze myśl
cudzą?

czyli z rezerwą zanim się przekona

czy głów podniesionych nad niebo nic nie
zawróci z drogi?

i tylko rozpacz podszyta humorem
gdy gwałt na prawdzie ludzi prostych dławi
i tylko oczy wzniesione ku górze
a tam ciszy nieustanny błękit

Nikola Simic Tonin

Taniec Aski (Askin Ples)

To było w miejskiej kawiarni
pili kawę
dwaj poeci
i
Bela.

Ivo zadbany dżentelmen.
Bela dama.
Miroslav zamierzał
nie powiedzieć ani jednego słowa
każdego kolejnego spotkania
starał się uniknąć.

W agonii tworzenia
Dwaj poeci
na deskach, co oznaczają życie
Przeklęte losy duszy
Aska Ivana tańczy
Taniec Aski.

Łowca jeleni (Lovac na jelene)

równina się
rozciąga w krzyku

nieprzyzwyczajona
na szczekanie i krzyki

kula dotarła do celu
przyczajony jelen ryczy
pachnie świtem
wiatr we włosach

nabrzmiałe żyły
namiętność łowiecka gorzej
cały zastany gwar
udar słoneczny

w zgiełku
firmament niebieski milczy
jak dwie spadające gwiazdy w nocy
jelenie zapadnięte oczy

Z chorwackiego przełożyła
Katarzyna Wojciechowska

Aleksander Talarkiewicz

Kolorowe koperty

Zanurzony w samotności,
pogrążony w tęsknocie,
pisałem do ciebie
tak wiele... wiele listów
w różnych nastrojach
pełnych nadziei, zwątpień,
Werterowskich uniesień,
tak *de mode* w naszym świecie
brokatowego blichtru, cekinów,
reklam, billboardów,
gwiazd, gwiazdeczek,
szybkiego seksu, go-go
i zamykałem je w kolorowych kopertach,
by rzucić je w znaną tylko nam
przestrzeń...

Wiem –
nie dotarły do ciebie – wybac,
pozostały tylko na twardym dysku mojej
pamięci.



Rys. Barbara Medajska

Danuta Gil-Łowkis

Stefan (4)

Droga do łowiska była kręta. Idąc, by dotrzeć do kładki przerzuconej nad strumykiem, który płynął w poprzek ścieżki, musieliśmy ominąć sporą połąć jałowców zagradzających przejścia między sosnami. Nie było się do czego spieszyć, więc szliśmy wolno w głębokiej ciemności, ale czasami, wśród rzadziej rosnących drzew, nie istniała potrzeba korzystania z latarki, ponieważ noc była pogodna, jasna. Nad rzeką widoczność mieliśmy wystarczającą, bo światło księżyca wzmocniała tfla spokojnie płynącej wody, z tej racji nie istniał kłopot z ulokowaniem się w wybranym miejscu.

Las nocą nie lubi gości. Ma tajemnice, których strzeże i dlatego każdego przybysza próbuje wyrzucić poza swoje granice. Straszny czarna czeluścią, szmerami, pohukiwaniem sowy i w ten sposób informuje, że o tej porze przestaje być przyjazny i że wymaga honorowania jego potrzeb.

Późna pora, zmęczenie, szumiący las i nastrój wywołany srebrnym światłem nie sprzyjały prowadzeniu rozmowy. Siedząc na rybackich krzeselkach, patrzyliśmy na obraz przeciwnego brzegu – czarny i płaski, jak zredukowana do jednej barwy kurpiowska wycinanka naklejona na niebo pełne gwiazd – światełek, co błady lub znikają przykrywane woalką leniwie płynących cienkich chmur. Czasami, ukryty gdzieś księżyc – może za drzewami rosnącymi na wzgórzach, które minęliśmy w drodze nad rzekę – rzucał mocne lub słabe światło, jakby świadomie je regulował dla wywołania różnych efektów.

Cisza i niezwykła sceneria przypomniła mi, że już kiedyś, dawno, znalazłem się nocą w lesie. Wiedziałem, że byłem sam, że ojciec nakazał mi siedzieć bez ruchu, aż ktoś po mnie przyjdzie, i że bałem się czegoś znacznie gorszego od nocy, lasu oraz samotności, bałem się wtedy czegoś niebawale strasznego, stąd obecnie las nie mógł swoimi niewinnymi sztuczka mi wywołać we mnie nie tylko lęku, ale bodaj minimalnego napięcia, które towarzyszy każdemu, kto nie może w pełni kontrolować otoczenia. Miałem pełną świadomość, że groza lasu jest udawana, że jest jak kostium, zamieniający ładną dziewczynę w czarownicę.

Czas mijał wolno, rozleniwił i namawiał do wypoczynku. Deres otulony ciepłą kurtką wyglądał na śpiącego, dlatego, nie chcąc go budzić, zrezygnowałem z pierwszego posiłku, z kanapek, po które zamierzałem sięgnąć. Zerkając na nieruchome spławiki, bo ryby nie brały, sprawdziłem, czy knot świecy nie zatapia się w woskowninie, oraz pomyślałem, że przed kolejnym nocnym połowem przywiozę z Gdańska świetlówkę, chociaż ta nagrobna lampka całkiem nieźle sobie radziła, i ponownie zanurzy-

łem się w swobodnie biegających myślach, wśród których zaplatało się kilka opowieści Kostka o jego sąsiadach. Otóż twierdzili oni z uporem maniaka, że na granicy lasu i cementarza w księżycową noc można spotkać widmo płaczącej kobiety oraz natknąć się na ducha żołnierza, który błądzi między grobami, bo szuka miejsca na pochówek w poświęconej ziemi. Wspomnienia historyjek znakomicie wpisujących się w atmosferę nocy i szumiącego lasu tym razem w ogóle mnie nie rozbawiły. Przez moment chciałem porozmawiać o tym, w jakim stopniu otoczenie wpływa na nasz nastrój i myśli, ale zrezygnowałem, sądząc, że Deres wciąż śpi, a tymczasem on, nie wykonując najmniejszego ruchu i nie otwierając oczu, zapytał: – Czy ojciec opowiadał wam, jak myśli łowili ryby?

W pierwszej chwili nie rozumiałem. – To znaczy, kto? Ksiądz z ojcem?

– Tak – przytaknął, a ja odpowiedziałem, akcentując zaskoczenie: – Naprawdę? Nie. Nigdy.

– Co się tak dziwisz? Twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem i jedynym człowiekiem, którego chciałem tak nazywać, tylko nie wiem, czyby mi na to pozwolił, bo na taki temat nigdy żeśmy nie rozmawiali – wyjaśniał zamyślony.

Spojrzałem na Deresa, ale było zbyt ciemno, bym mógł dostrzec wyraz jego twarzy. Patrzyłem z uporem, jakbym chciał tę ciemność pokonać i dowiedzieć się, czy to żart, czy częste pobyty ojca na plebanii rzeczywiście były spotkaniami przyjaciół. – To niemożliwe, przecież ksiądz to ksiądz, a chłop to chłop. Przyjaciel ojca! Ale wymyślił! To jakaś bujda lub pułapka, a może... Nie, na pewno bujda, bo z tą pułapką to też głupota – płątałem się w domysłach, aż zmęczony nieskładnymi dociekaniami, spuściłem głowę i czekałem na kolejne dziwaczne opowieści. Po chwili Deres dorzucił:

– Swojego wujka pamiętasz? On zawsze oświetlał luczynem wodę, a Józef rozglądał się za rybami i często wyciągał sumy, z którymi żaden z nas nie dawał sobie rady, bo sum to silna i sprytna ryba, niełatwo z nią wygrać.

W czasie naszej rozmowy odrobinę pojaśniało. Chmurki gdzieś odpłynęły, a na odsłoniętym niebie pojawił się kosmyk światła. Widząc przesuwającą się cienką smużkę, wskazałem ręką rejon zjawiska i powiedziałem: – Czy ksiądz widzi? To chyba sputnik, a może tylko kosmiczny śmieć, który wpadł do atmosfery. Gdyby nie przemieszczanie się po niebie, łatwo takie światelko pomylić z odległą gwiazdą.

Deres nie odezwał się, jednak spojrzał w

niebo, a potem przeniósł wzrok na czarny rysunek lasu i długo milczał. Widocznie jego myśli pobiegły innymi torami, bo po dobrej chwili stwierdził: – Potężna, dumna gwiazda i ów śmieć kończą tak samo.

Co chciał przez to powiedzieć i o czym pomyślał, patrząc w niebo, nie zdradził. Nie wypadało pytać, skoro sam rozmowy nie ciągnął. Przez chwilę wiercił się. Zmienił pozycję, wyprostował nogi i wtulił w kurtkę, którą był okryty. Sprawiał wrażenie człowieka ponownie układającego się do snu. Zerknąłem na wędki i również pomyślałem o drzemce. Gdy zapadło milczenie, nocna cisza powoli zamieniała się w nieśmiały szelest, chrobotanie, tajemnicze trzaski suchych gałęzi, jakieś z daleka dobiegające ni to piski, ni to wrzaski, a wszystko razem wytworzyło baśniową aurę, w której zanurzyłem się z przyjemnością. Wyostrzyłem słuch, próbując domyślić się, co takiego dzieje się w nocnym życiu otaczającego lasu.

Czas mijał, ryby nie brały. Wierzchołkami drzew przeszedł lekki wiatr, przynosząc zapowiedź chłodnego świtu.

Moje zaurczenie nastrojem przerwały słowa księdza: – Stefan, czy wpadłoby ci do głowy, że ja nie nazywam się Deres? – Odpowiedziałem: – Nie. Czasami tylko pomyślałem, że to dziwne nazwisko, ale że nie jest księdza, co to, to nie. – I zapytałem: Czy to jakaś tajemnica, czy tylko wstęp do ciekawej opowieści?

Deres przeciągał milczenie, delikatnie pochrząkując, po czym solidnie zakaszał i zupełnie spokojnie wyjaśnił: – Wiesz, ono jest moje i nie moje. A czy to jakaś tajemnica? Może tak, chociaż przede wszystkim to głupia historia, a Deres to świadectwo głupoty. Bo widzisz – ciągnął – ja uciekłem od własnego nazwiska, które zmieniłem na Deresa.

– Po co?

– W tym cała rzecz!

I pytanie i odpowiedź były odruchem, lecz zapowiadały ciąg dalszy. Po swym wyznaniu ksiądz długo milczał, a ja pomyślałem, że to milczenie należy uszanować, dlatego spokojnie obserwowałem raz płynącą wodę, raz księżyc, a także lekko chwiejące się wierzchołki drzew z drugiego brzegu i cierpliwie czekałem, podejrzewając, że w księdzu coś pęka, coś upomina się o uzewnętrznienie. No i zaczął.

– Miałem starego i chorego ojca oraz zamodloną do granic możliwości matkę, która większość czasu spędzała w kościele. Jestem jedyńkiem, bliskiej rodziny nie mam, dalszej nie znam do dziś. W tej sytuacji wałęsałem się po wsi sam, niedoubrany, może nawet niedomyty, bo nikt się mną nie interesował. Szybko stałem się łatwym celem szyderstw miejscowych dzieciaków, które całymi grupami biegały

za mną i pokazując palcem, wykrzykiwały imię mojej matki – Teresa, przeinaczając je w dziecięcy sposób na Deresa. Dla mnie zagadka tkwiła w imieniu matki. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie wykrzykują na przykład Jasiusiusiu, bo na imię mam Janek.

Z jakiegoś powodu przerwał opowieść, lecz po chwili do niej wrócił. Mówił:

– Nie pamiętam, ile miałem lat, gdy podśledzałem rozmowę starszych chłopców, którzy szepotali coś o sąsiadkach odwiedzanych nocami przez miejscowego uwodziciela. Nasmiewali się z tych kobiet i uznali, że chyba co drugie dziecko we wsi, to jego dziecko.

Początek opowiadania przyjąłem z nabożnym szacunkiem, ale gdy usłyszałem o niesłubnych dzieciach, wywęszyłem podstęp. Uznałem, że wysłuchuję ubranej w powagę wiejskiej anegdoki, a takie numery były w stylu Deresa, dlatego, chcąc się włączyć w jej żartobliwy nurt, plasnąłem dłonią w udo i niemal krzyknąłem:

– No nie! Niech zgadnę! A ksiądz wymyślił, że jest jego synem. Tak?

Od tego momentu rozmowa nas ożywiła, może dlatego doskonale ją pamiętam. Na moje pytanie dał prostą odpowiedź: – Gorzej, ja mu to powiedziałem.

– Jakie gorzej? Przecież ksiądz był dzieckiem. Ile ksiądz miał lat? – dopytywałem.

– Jak wymyśliłem, sześć, a jak powiedziałem, chyba piętnaście – szepnęła niepewnym głosem. Słuchałem i nie wierzyłem. Byłem bliżej przekonania, że to zabawna bujda opowiadana dla zabicia czasu. Skręcałem się ze śmiechu, a po chwili śmialiśmy się obaj. Zapomnieliśmy o nocy, lesie i połowie ryb. W końcu Deres powiedział: – Ryby może i są głuche, ale podsłuchiwać lubią. Sprawdź, czy jakaś nie kręci się w pobliżu.

Nagrobny lampionik świecił wystarczająco jasno, by przekonać się, że ryby wybrały inne żerowisko, dlatego wróciliśmy do rozmowy. Po chwili przerwy Deres dorzucił: – Wiesz, on nie zaprzeczył, to dla mnie znaczyło, że z matką spał, a skoro spał, mogłem być jego synem. No i wreszcie znalazłem wytłumaczenie przezywania mnie imieniem matki. Oni śmiali się z niej, ja byłem tylko biegającym po wsi dowodem jej godnego obśmiania postępków.

Po tym wyjaśnieniu wesołość wyparowała. Zrozumiałem, że wysłuchuję zaskakującej, chorej, ale prawdziwej historii. Tylko jak doszło do zmiany nazwiska? Do tego trzeba być pełnoletnim, jednak nie miałem już odwagi pytać o cokolwiek.

Gdzieś nad nami niebo odrobinę pojaśniało, a powietrze stało się chłodniejsze niż wieczorem. Siedząc nad rzeką, trochę zmarzliśmy i zgłodzieli. Przyszedł czas na przekąskę. Sycące kanapki i gorąca kawa z termosu wprowadziły małe zamieszanie, ale były na czasie. Jedliśmy z apetytem. Między jedną a drugą kanapką Deres przerwał na moment posiłek.

– Dodam ci tylko – powiedział – że przez długie lata uważałem matkę za puszczalską, a ojca za przygodnie wplątanego w nasze życie

dziwnego staruszka. Dziś wiem, że moim ojcem jest ten dziwny staruszek, bo jestem jego kopia, z tą różnicą, że mam zdecydowanie więcej zdrowia.

– A skąd ten Deres? – zapytałem. – Męska forma od Deresy – wytłumaczył jak dziecku.

– Widzisz, Stefan – dodał po chwili – jestem żywym przykładem na to, co głupota może zrobić z człowiekiem. U mnie uraz był zbyt duży, musiałem się jakoś wyleczyć, odreagować, pokazać ludziom, że ta ich Deresa to nic, że może być dumnym wyróżnikiem, nawet nazwiskiem księdza.

Gdy zjadaliśmy ostatnią kanapkę, drgnął jeden splawik, a później, jakby w nagrodę, wzięło jeszcze kilka sporych ryb. Niebo zaczęło przywdziewać coraz jaśniejsze sukienki, a jak pojawił się bładź róż, wiedzieliśmy, że za moment rozsnuta, lekka mgła zamieni się w rosę, bo idą kolejne pogodne dni.

W namiocie przed snem porządkowałem myśli. Miniona noc przyniosła kilka ciekawych informacji, ale nie pamiętam, co przekonało mnie, że obaj mamy problemy z życiem. Każdy swoje.

Moja codzienność była szara i samotna. Tomek – stary plotkarz, wpadając czasami, podrzucał informacje o Leszku, który w międzyczasie uruchomił kilka punktów stolarskich. Pewnego dnia przypadek zdarzył, że spotkałem Leszka. Natychmiast zaprosił mnie do siebie, do domu. Wybrałem się do niego późnym sobotnim popołudniem, bo rozmowa z niedzielą w perspektywie toczy się łatwiej. Na ulicy dopiero zapadał zmrok, ale w budynku, w sieni było już ciemno. Rozglądając się za kontaktem, zauważyłem niedomknięte drzwi mieszkania Leszków, za którymi toczyła się prowadzona podniesionym głosem rozmowa. Usłyszałem głos Zuzi. Oświadczyła: – Nie będę go przyjmować w moim domu! On nie ma tu prawa wstępu! Niech idzie do swoich kumpli, do Tomków i innych ubeków.

Na takie dictum zdenerwowany Leszek zapytał, kto dał jej prawo tak o mnie myśleć, tak mnie oceniać? I dodał: – Na czym opierasz swoje przekonanie? Przecież ty go nie znasz. To, że on zna Tomka, nie znaczy, że jest taki sam. Znają się od lat, chodzili do tej samej klasy. Ja częściej spotykam się z Tomkiem i co z tego?

– Klasa nie klasa, a ja ci powtarzam, nie chcę go tu widzieć! – upierała się.

Takie stanowisko doczekało się ostrej reakcji. – Zuziu, nie przeciągaj struny. Stefan to mój brat! Czy to ci się podoba, czy nie, będzie bywał w tym domu.

– Właśnie, że nie! – krzyknęła zaciętrzewiona.

W tym momencie Leszek zamknął rozmowę, powiedział: – Przeholowałaś! Wciąż mówisz o twoim domu, tymczasem ty w tym domu do żadnego dyktatu prawa nie masz. Podobno niezły z ciebie prawnik, ale zapomniałas o intercyzie. Mieszkanie jest moje i chociaż po to, żebym mógł przyjmować w nim

rodzinę, postąpiłem słusznie. Miałas do mnie o intercyzę pretensję, chyba nie znalazłaś siebie. Jeżeli ci moje stanowisko nie odpowiada, to wyjdź, bo ja zdania nie zmienię.

Po tym, co usłyszałem, postanowiłem wrócić do domu, lecz w drodze do drzwi wyjściowych dobiegł mnie głosik podobny do piśnięcia przerażonej myszy. W kąciaku stało skulone i drżące dziecko. Właśnie wtedy na klatkę wybiegła Zuzia. W rozdrażnieniu i złości nie zauważyła niczego, udała się schodami na górę, do sąsiadki, by u niej rozładować swój gniew.

Podniosłem rozdygotaną Asię – ich córkę i przytuliłem. Wszedłem do mieszkania, usiadłem na krześle, trzymając ją na kolanach. Długo milczałem. Myślałem o Zuzi, o dziwacznym pomysle z intercyzą, który mnie nigdy by nie wpadł do głowy, i o drżącym, zapłakanym dziecku. Miałem świadomość, że jestem przyczyną łez. Odpowiedź na pytanie, co powinienem zrobić, nie była prosta. W rezultacie postanowiłem zostać u Leszka, bo czułem, że jestem mu do czegoś potrzebny. Może, mimo posiadania rodziny, do zapewnienia pustki?

Czas płynął. Po latach, pojechałem do Krakowa załatwić pewną sprawę i traf chciał, że znalazłem się w pobliżu cmentarza na Salwatorze. Byłem na nim dwukrotnie. Pierwszy raz tuż po ślubie. Gdy nadeszła wiosna, a wraz z nią kilka słonecznych dni, Ewa zabrała mnie na niecodzienną wycieczkę. Twierdziła, że z cmentarnego wzgórze w pogodne dni można zobaczyć Tatry. Staliśmy przy grobie jej dziadka, czekając wytrwale, aż wiatr przewieje błąkające się po niebie mgiełki. Pamiętam ciszę, skrzeczenie wron i zdumienie, bo mówiła prawdę. Wyłoniło się górskie pasmo. Od śmierci Ewy, od jej pogrzebu, gdy spoczęła obok dziadka, nigdy tam nie zajrzałem.

Moją sprawę załatwiłem szybko, a że był piękny, wiosenny dzień, wpadłem na pomysł, żeby wstąpić na cmentarz i sprawdzić, czy tym razem też zobaczyłbym Tatry. Chcąc skrócić drogę, zamierzałem skręcić w boczną alejkę, lecz zawróciłem, bo przypomniała mi się mała Asia i pogrzeb Kostka. Podeszła do mnie tak cichutko, że gdyby nie drobna rączka w mojej, może bym jej nawet nie zauważył. Milcząc, uparcie ciągnęła mnie, aż stanęliśmy przed dziwnym grobem. Był to ogromny, bezkształtny głaz z jednym jedynym napisem wrytym bardzo niewprawną ręką: „Zgasłemu szczęściu”. Asia pozwoliła mi przyglądać się przez chwilę niezwykłemu pomnikowi, a następnie zapytała, mówiąc:

– Ja umiem czytać, wiem, co tam jest napisane, ale powiedz mi, stryжку, czy ty cioci Ewie też położyłeś taki kamień? Bo przecież ty też ją bardzo kochałeś, prawda?

Przez to wspomnienie zawróciłem i kupiłem bukiet kwiatów. Czasami myślę, że może właśnie dlatego znów zobaczyłem Tatry. Po tym dniu wróciłem do Gdańska i o sprawie zapomniałem.

cdn.

Katarzyna Eremus

Automobilem przez Europę

„Z wrażeń felietonisty” Mariana Gawalewicza (3)

W sytuacji, gdy dla domknięcia domowego budżetu należało ograniczać wydatki i rozsądnie gospodarować pieniędzmi, zakup samochodu oraz późniejsze z niego korzystanie, jak również ponoszenie kosztów związanych z eksploatacją, nieraz znacząco przekraczały możliwości finansowe rodziny.

Ze automobilizm u nas tak szybko się nie przyjmie, jestem pewny, bo mu brak gruntu i sprzyjających warunków do zaaklimatyzowania się w kraju, w których przede wszystkim nie ma dróg dobrych, nie ma ludzi dość zamożnych, aby sobie na taki wydatek pozwolić mogli, a wreszcie nie ma należytego pojęcia o wartości czasu.⁵⁰

Gawalewicz, który w samochodzie był tylko pasażerem, zwracał uwagę na niezwykle ważną rolę kierowcy podczas podróży. Na nim spoczywała odpowiedzialność za bezpieczne dotarcie do celu oraz za komfort jazdy. Pisarz w utworze wymieniał obowiązki kierowcy, które nie ograniczały się do prowadzenia samochodu. Podkreślał, że jest on i powinien być najważniejszą osobą podczas podróży samochodem ze względu na posiadaną wiedzę na temat działania pojazdu oraz umiejętność płynnego kierowania maszyną. Od jego umiejętności zależało bezpieczeństwo podróży, dlatego też każdy pasażer powinien zwracać uwagę, komu zamierza powierzyć pracę szofera. Dobry kierowca, zdaniem Gawalewicza, stanowił gwarancję zdrowia i życia pasażerów. Wpływał również na spokojny przebieg podróży, odpowiadając także za dostosowanie prędkości jazdy do panujących warunków drogowych. Jako osoba zaznajomiona z techniczną obsługą pojazdu, potrafił tak kierować samochodem, aby uniknąć wypadków oraz awarii, a w przypadku problemów mechanicznych większość z nich potrafił samodzielnie rozwiązać.

Dobry chauffeur, to asekuracja życia w automobili; on jest sternikiem tej ziemskiej łodzi, on reguluje szybkość biegu, on na maszynie gra, jak na klawikordzie i jednym pociśnięciem palca może wywołać taką kakofonię, że z pełnego akordu członków swego pana, nie pozostałoby ani jednego całego tonu.⁵¹

Równie ciekawe spostrzeżenia pisarz przedstawiał w kontekście profilu psychologicznego kandydata na kierowcę. Skoro to od umiejętności szofera oraz jego zachowania w losowych sytuacjach na drodze zależało bezpieczeństwo pasażerów, powinien on posiadać określone cechy charakteru. Gawalewicz podkreślał przede wszystkim zdolność

koncentracji na wykonywanej czynności, umiejętność zachowania milczenia chroniącego przed rozkojarzeniem, a także zdolność do oceny sytuacji drogowych i w zależności od nich podejmowania rozsądnych decyzji podczas jazdy. Według pisarza zagrożenie na drogach stwarzali kierowcy zmęczeni i senni. Za niebezpiecznych uważał też tych, którzy prowadzili nazbyt odważnie, ryzykownie, ale również niepewnie i z obawami. Nerwowość i roztargnienie uważał za niedopuszczalne. Dużym brakiem zaufania obdarzał kierowców nietrzeźwych, pałających, nadmiernie rozmownych oraz zakochanych. Tych ostatnich oceniał jako najbardziej rozkojarzonych, ponieważ skupionych niemal wyłącznie na miłości. Opisując w dowcipnych słowach potencjalnych kierowców, zwracał zarazem uwagę na złożoność kwestii bezpieczeństwa podróży. Za bezwypadkowe dotarcie do celu bezpośrednio odpowiadał kierowca, jednak pasażerowie, wybierając swojego szofera, również mieli na nie znaczący wpływ. Chciał w tym fragmencie utworu dominował lekki, żartobliwy ton wypowiedzi, Gawalewicz przypominał, że zawsze należy rozsądnie dokonywać wyboru kierowcy, gdyż nie każdy, kto od strony technicznej potrafi prowadzić samochód, zasługuje na zaufanie pasażerów.

Nie wolno mu być roztargnionym, (broń Boże, zakochanym, bo to rozrywa najbardziej myśli), nie wolno być sennym, znużonym, nietrzeźwym, zanadto ryzykownym, ani zbyt bojaźliwym, ani sangwinikiem, ani flegmatykiem, musi umieć milczeć i skupiać uwagę w jednym kierunku, bo inaczej każde prześlepienie, każdy błąd, każda spóźniona lub za szybka decyzja, łaďa niezręczny, nerwowy, nieobliczony ruch, może się srogo zemścić na nim i na automobiliu.

Z chauffeur'em, który pali, pije, kocha się i gawędzić lubi, nie puściłbym się w drogę za nic w świecie!...⁵²

Warto zauważyć, że w utworze Gawalewicz rozwój motoryzacji łączył przede wszystkim ze środowiskiem męskim. Można znaleźć tylko nieliczne wzmianki odnoszące się do kobiet. Zwykle mają one wydźwięk pejoratywny. Pisarz po części kwestionował zdolności kobiet w zakresie kierowania samochodami, podważał również ich znajomość mechaniki. Odradzał im kierowanie nie tylko samochodami wyścigowymi, ale także pojazdami przeznaczonymi do codziennego użytku, podkreślając przy tym wzrost ryzyka związanego z możliwością wypadku, gdy kierowała kobieta.⁵³ Jego stanowisko wobec kierujących kobiet tym bardziej zaciekawia, że

panie od początku wносиły znaczny wkład w rozwój motoryzacji. O tym, że odmawiając kobietom zdolności do prowadzenia samochodu, Gawalewicz nie miał racji, najlepiej zaświadczyły wydarzenia następnych lat. Jednym z najciekawszych przykładów może być osiągnięcie z powodzeniem startującej w wyścigach Niemki Clärenore Stinnes – w latach dwudziestych odbyła samochodową podróż dokoła świata.⁵⁴ Wiele kobiet startowało także w wyścigach samochodowych niemal od początku istnienia tej dyscypliny sportu. W dwudziestoleciu międzywojennym często rywalizowały w nich z mężczyznami i w tej rywalizacji odnosiły sukcesy.⁵⁵

Nie radzę żadnej *sport-lady* brać się do kierowania samochodem, nawet zwyczajnym spacerowym, nie mówiąc już o wyścigowych, przy których niebezpieczeństwo rozbicia się jest stokrotnie większe.⁵⁶

Gawalewicz odnosił się sceptycznie nie tylko do kobiet kierujących samochodami. Równie wiele zastrzeżeń miał wobec kierowców wyścigowych. Chociaż niejednokrotnie wyrażał swój zachwyt związany z osiąganymi przez samochód prędkościami, uważał jazdę wyścigową za bardzo niebezpieczną, nawet podczas organizowanych rajdów. Jeszcze bardziej krytycznie mówił o kierowcach, którzy posiadając szybkie pojazdy, przenosili rajdowe przyzwyczajenia na zwykłe drogi, nieprzystosowane do większych prędkości. Konsekwencją nieostrożnej, nadmiernie ryzykownej jazdy były naturalnie wypadki drogowe. Opisywane na łamach poszukujących sensacyjnych wydarzeń gazet, mogły budzić w społeczeństwie obawy związane z bezpieczeństwem nowego środka transportu. Dawały również argument przeciwnikom rozwoju motoryzacji, podtrzymując lęki i uprzedzenia, jakie często towarzyszą wprowadzaniu do użytku nowości technicznej. Gawalewicz słusznie zauważał, że za złą opinię samochodów odpowiadał niewielki procent kierowców, którzy przez własną bezmyślność stwarzali zagrożenie na drogach. Tłumaczył także, że pod względem ryzyka jazda automobilem nie jest bardziej niebezpieczna od jazdy koleją czy pojazdami konnymi, a nawet podróży statkiem czy lotów balonem.

Te wyścigowe jaskółki żelazne od początku ze psuły najbardziej opinię automobilom; okropne wypadki, spowodowane wariacką jazdą chauffeur'ów, zaszczepiły strach i uprzedzenie do nowych wehikułów, które stosunkowo do ilości

pedzających dziś maszyn po rozmaitych drogach Europy, nie są znów ryzykowniejszym środkiem lokomocji od wagonów kolei żelaznej, balonów, statków parowych, a nawet zwykłych pojazdów, zaprzężonych rączymi końmi.⁵⁷

W utworze Gawalewicza można znaleźć także fragmenty poświęcone zagadnieniom odnoszącym się do technicznych aspektów obsługi samochodu. Pisarz zwracał uwagę na fakt, że podczas każdej podróży należy liczyć się z możliwymi awariami. W *Z wrażeń felietonisty* przedstawił kilka drobnych wydarzeń, które spowodowały przestoje i opóźnienia w podróży, jak przebicie opony na niezauważonym podczas jazdy gwoździu szwajcarskim czy pęknięcie śrubki przy łańcuchu hamulcowym. Wydarzenia te traktował jako uciążliwe niedogodności, które jednak, przy uwzględnieniu wszystkich niekwestionowanych zalet samochodu, nie psuły radości z podróżowania nowoczesnym środkiem transportu. Gawalewicz podkreślał przy tej okazji, jak duże znaczenie ma wcześniejsze odpowiednie przygotowanie do podróży. Kierowcom zalecał przeczność – zaopatrzenie się w dobrze przemyślany zestaw narzędzi oraz części zapasowych, a także zabranie stroju roboczego, przydatnego przy naprawianiu pojazdu. W warunkach, kiedy nie istniał jeszcze rozwinięty system pomocy drogowej, a w wielu miejscowościach samochody nadal stanowiły nowinkę techniczną, budzącą ciekawość i sensację, wiele napraw musiał wykonywać kierowca, który z tego powodu powinien posiadać sporą wiedzę z zakresu mechaniki. W przeciwnym razie należało przetransportować pojazd do najbliższej miejscowości z wykorzystaniem sprowadzanych do tego celu koni, co jednak było czasochłonne i, jak pisał Gawalewicz, powolne oraz denerwujące.⁵⁸ Dobrze przygotowanie do podróży, zabranie zestawu narzędzi i umiejętność doraźnego radzenia sobie z najczęstszymi awariami usprawniały podróż, a w razie wystąpienia problemów technicznych pozwalały na dokonanie napraw bez konieczności poszukiwania sposobów na sprowadzenie samochodu do najbliższej miejscowości i oddanie w ręce lokalnych mechaników.

Przezorny automobilista na takie przygody musi być przygotowany i w podróżnym pudle, pod karocą, ma cały warsztat, narzędzia, zapasowe części maszyny i powozu, płócienny chałat, który wdziewa do roboty, a w którym najpiękniejszy męczyzna wygląda, jak smoluch poplamiony i zatłuszczony.⁵⁹

W końcowych partiach książki Gawalewicz nie tylko zwracał uwagę na konieczność zaznajomienia się z techniczną stroną obsługi samochodu przez kierowcę, ale również pokrótce opisywał niektóre z mechanizmów. Nie są to opisy w pojęciu ściśle technicznym, nie zawierają też dokładnych parametrów. Pisarz pokrótce zarysował najważniejsze kwestie związane z funkcjonowaniem pojaz-

du, między innymi pracę silnika, systemu chłodniczego czy *iskiernika*.⁶⁰ Przedstawiał nie tylko najogólniejsze zasady działania, ale też podstawowe sposoby konserwacji najważniejszych elementów pojazdu. Wymieniał także przykładowe awarie i problemy, jakie mogą się pojawić, jeśli użytkownik samochodu nie zadba o jego stan techniczny. Upowiedział przy tym, że odpowiedni nadzór może zająć sporo czasu. Porównywał samochód do żywego stworzenia, gdyż, choć jest tylko maszyną, posiada własną osobowość i charakter, nierzadko przejawiający się uporem i złośliwością.⁶¹ Jego zdaniem w niektórych aspektach automobil przypominał kapryśną, dąsającą się kobietę, do której kaprysów należy jednak podchodzić z wyrozumiałością i delikatnością.⁶² Podkreślał przy tym, że brak zrozumienia dla zachowań samochodu oraz niedostateczna dbałość o zabezpieczenie prawidłowego działania pojazdu mogły przedłużyć podróż oraz zmniejszyć jej komfort. Do najważniejszych czynności, których należało dopilnować przed jazdą, zaliczał sprawdzenie stanu paliwa, właściwe nasmarowanie osi oraz kontrolę tych mechanizmów, które były podatne na zatarcie przez kurz lub piasek.⁶³

Umyslnie wspominałem o tych rozmaitych organicznych właściwościach samochodu, aby w końcu zaznaczyć, że dozór nad nim wymaga dużo czujności i zachodu, jeżeli się chce korzystać z jego zalet i podróżować nim prawidłowo, równo, dobrze i bez czasu straty.⁶⁴

Podróż samochodem dostarczyła pisarzowi wielu niezapomnianych, pozytywnych przeżyć. Pomimo kilku nieoczekiwanych trudności i awarii, jakie miały miejsce podczas jazdy, pozostawał pod urokiem nowego środka transportu. Uważał, że dzięki swoim niekwestionowanym zaletom samochód przewyższał kolej oraz powozy, nawet jeśli wymagał od szofera nie tylko umiejętności kierowania, ale też sprawdzania stanu pojazdu i ewentualnego przeprowadzania napraw. Podkreślał pozytywną zmianę w sposobie odbywania podróży, których przebieg i trasę można było ułożyć według indywidualnego planu. Zwracał uwagę również na bardziej komfortowe warunki podróżowania. Doceniał znaczenie rozwoju motoryzacji dla unowocześnienia infrastruktury drogowej oraz otwarcia na turystów kolejnych miast, wcześniej uważanych za nieatrakcyjne lub trudno dostępne ze względu na znaczną odległość od linii kolejowych czy szlaków wodnych. Zachwycał się prędkościami rozwijanymi przez samochody, jakkolwiek kilkakrotnie wskazywał na niebezpieczeństwa związane z ryzykowną, nadmiernie szybką jazdą. Mimo to właśnie w skróceniu czasu przejazdu widział jedną z przyczyn stałego wzrostu popularności samochodów. Przyczyniały się do niej również inne czynniki – samochody można było wykorzystywać nie tylko jako narzędzia pracy

i komunikacji, ale także w celach rozrywkowych. Gawalewicz nie zajmował jednoznacznego stanowiska wobec wyścigów samochodowych, jednak krytycznie ocenił przeniesienie na ogólnie użytkowane drogi wyścigowego stylu jazdy nieodpowiedzialnych kierowców. Zachwycał się za to możliwościami rekreacyjnymi oraz poznawczymi, jakie otwierały podróże samochodowe. W jego oczach samochód stał się jednym z towarzyszy podróży do Karlsbadu, dlatego też w ostatniej, zawierającej podziękowania części książki, wyraził swoją wdzięczność nie tylko dla przyjaciela, który zorganizował cały wyjazd, ale również dla samochodu, bez którego cała wyprawa i wszystkie pozytywne wydarzenia oraz emocje z nią związane nie miałyby miejsca.

Przemarzyłem w nim tyle tęczyowych chwil, że mógłbym, parafrazując Bohdana Zaleskiego, zawołać: „Boże, proszę Ciebie, gdy umrę, daj mi samochód w niebie!”⁶⁵

Katarzyna Eremus

⁵⁰ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 9-10.

⁵¹ *Ibidem*, s. 71.

⁵² *Ibidem*, s. 72.

⁵³ Gawalewicz w żartobliwy sposób opisywał mniejsze, jego zdaniem, umiejętności kobiet również w zakresie powożenia. Zob. *ibidem*, s. 70.

⁵⁴ Zob. <http://nasportscar.com/influent-figures-in-racing-history-clarenore-stinnes/>, dostęp z dnia 30.10.2014

⁵⁵ Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 313.

⁵⁶ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 72.

⁵⁷ *Ibidem*, s. 72-73.

⁵⁸ *Ibidem*, s. 65.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 35.

⁶⁰ *Ibidem*, s. 88.

⁶¹ Zob. *ibidem*, s. 85.

⁶² Zob. *ibidem*.

⁶³ Zob. *ibidem*, s. 86-87.

⁶⁴ *Ibidem*, s. 88.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 98.

Agnieszka Szpunar

* * *

pożyczyłeś dzień
oddawałeś na raty
wszystko czym dla siebie jesteśmy
to tęsknota
lubiłam twoje powroty
odchodziłeś każdego ranka
nie jestem dobra w czekaniu
czekałam

uczyłam się na pamięć
ciebie pocałunków
dotyku słów
nie przestawaj mi przypominać

„Dzienniki nieumarłych”

29 grudnia 2014 roku (poniedziałek) godzina 16:35. Za oknem lekko prószny śnieg, a na ekranie laptopa widnieje e-mail: *Witaj Słoneczko! Mam prośbę...* Właśnie w ten sposób zaczęła się moja literacka przygoda z wierszami **Darii Antoniny Maciejewskiej**, kiedy to Kazimierz Linda poprosił mnie o napisanie wstępu do tomiku poezji *Dzienniki nieumarłych*. Na początku byłam pełna obaw, czy zwyczajnie dam radę zmierzyć się z tym tematem, bo przecież nie znam osobiście autorki, nie wiem jak wygląda, co myśli, co czuje i jakie ma marzenia. Jednak po przeczytaniu dwóch pierwszych wierszy byłam pewna, że warto wyruszyć w tę niezwykłą „podróż” – podróż życia i człowieka.

W odróżnieniu od wielu początkujących poetów, których wiersze często epatują krzykliwością i poszukiwaniem za wszelką cenę oryginalności poezja zawarta w *Dziennikach nieumarłych* jest pełna stoickiej mądrości, z którą na przemian przeplatają się motyw *vanitas*, filozofia epikurejska oraz bunt jednostki wobec otaczającego ją świata. Tak zestawione ze sobą elementy tworzą receptę na uzyskanie *aurea mediocritas* pomagającego człowiekowi wrażliwemu na szczęśliwą egzystencję we wszechświecie. Autorka mimo młodego wieku oparła swoją poezję na wielu wątkach i motywach typowych dla człowieka dojrzałego i doświadczonego przez trudy życia, dlatego w całym zbiorze wierszy możemy wyróżnić kilka tematów przewodnich.

Pierwszą myślą przewodnią *Dzienników nieumarłych* jest przemijalność ludzkiego życia i ulotność chwil. Wiersze, które najpełniej ukazują taki stan świadomości i uczuć podmiotu lirycznego to *Popiół*, *Wiadomość*, *Zejsięcie* i *Znicze*. Podmiot liryczny opowiada tu o ludziach, miejscach i wydarzeniach z przeszłości: *cokolwiek było i wrócić nie chce odeszło*. Wyraźnie mówi tu o tęsknocie za osobami, z którymi jest związany emocjonalnie i dlatego stara się aby ich obraz został nienaruszony w jego myślach, słowach i sercu przez upływający czas.

Poetka poruszając temat śmierci i związanego z nią lęku nie pozostawia czytelnika tylko w pesymistycznym nastroju, ponieważ w *Zejsięciu* wyraża nadzieję, na powtórne spotkanie tych, którzy odeszli: *kiedys spotkały się gdzieś w ciszy wiekuiestej*.

Oprócz bólu z powodu kruchości ludzkiego życia poetka podkreśla również ulotność przyrody:

*żonkile które kwitły
zeszłej wiosny tak uroczo
już nie zakwitną
tak samo,*

czasu i stanów:

*i ten sen piękny
ostatniej nocy
już nie wróci.*

Drugą myślą przewodnią *Dzienników nieumarłych* jest miłość, która posiada wiele przymiotów. Mamy tutaj do czynienia z miłością szczęśliwą *Ty*, *Powietrze*, niepewną *Czekanie*, *Lepiej*, *Wróć*, *Żółć*, zawiedzioną *Wiersz rozproszony* oraz tą, która przez nagromadzenie negatywnych emocji i niedomówień wpływa destrukcyjnie na podmiot liryczny *Krew*, *Morderca*, *Żle*.

Autorka dzięki tak szeroko rozumiane spektrum miłości ukazuje czytelnikowi wieloznaczność tego uczucia. Według poetki miłości nie da się określić jednoznacznie, ponieważ niesie ona ze sobą różne myśli, gesty, słowa i stany emocjonalne.

Na szczególną uwagę zasługują dwa wiersze *Fantazje* i *Ona*, w których tym razem podmiotem lirycznym nie jest kobieta lecz mężczyzna.

W *Fantazjach* osoba wypowiadająca się buduje w myślach obraz ukochanej. Zaczyna od ogółu by potem przejść do szczegółów:

*twoje dłonie (...)
twoje oczy (...)
stukot
twoich obcasów.*

Wyobraża sobie intymne sytuacje w sposób realny, które niestety w efekcie końcowym stają się tylko ulotną fantazją:

*i tęsknię za tobą
choć nigdy
nie przysłałaś.*

Natomiast w wierszu *Ona* marzenia podmiotu lirycznego o pięknej, delikatnej i wrażliwej kochance zostały spełnione. Strofy oparte są na niezwykle realistycznym scenie i przeżyć. Kobieta, o której mówi podmiot liryczny jest mu bardzo i prawdziwa. Czytelnik ma wrażenie, że może ją nie tylko zobaczyć ale też dotknąć:

*jesteś tak piękna
że mógłbym
cię objąć
wziąć w ręce.*

Moją niezwykłą uwagę zwrócił również wiersz *Autodestrukcja*, który tak samo jak dwa poprzednie jest głęboko związany z motywem miłości. Na początku interpretacji stwierdziłam, że uczucie opisane w tym wierszu wpływa jedynie destrukcyjnie na podmiot liryczny i parę kochanków. Jednak jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy po upływie kilku godzin ponownie sięgnęłam po ten wiersz.

Autorka celowo dała bardzo wymowny tytuł jednak głęboko ukryty sens opisanego obrazu poetyckiego jest przeciwieństwem wobec tytułu. Podmiot liryczny grozi, że dotrze do serca drugiej osoby i je zniszczy. Jednak na koniec daje pozwolenie tej osobie

aby ona również dokonała takich samych bądź podobnych spustoszeń np. za pomocą bolesnych słów i czynów:

*i ty też krzywdź mnie
od czasu do czasu
i na bieżąco.*

Możemy zadać sobie pytanie: w jakim celu mamy wzajemnie się unicestwiać? Otóż właśnie w *Autodestrukcji* poetka przekazuje nam całą esencję znaczenia słowa miłość. Według niej miłość to nie tylko same szczęśliwe chwile ale przede wszystkim kłótnie i spory, które paradoksalnie sprawiają, że związek dwojga bliskich sobie ludzi staje się silniejszy.

Trzecią myślą przewodnią *Dzienników nieumarłych* są trudy życia codziennego takie jak uczucie zagubienia w świecie, niepewności jutra i zwątpienie w Boga oraz Jego opatrzność. Wiersze, które najpełniej ukazują nostalgiczne uczucia podmiotu lirycznego to *Bajka*, *Klaustrofobia*, *Niebo*. Podmiot liryczny skarży się na swój los. Uważa, że jego życie jest pełne przeszkód, z którymi nie może sobie poradzić. Ma pretensje do Boga, że go opuścił zamiast wspierać i otoczyć bożą opatrznością w tych szczególnych dla niego chwilach: *i dziś mnie opuścił*. By zaraz potem usprawiedliwić Najwyższego, że przecież: *nie może być wszędzie*.

Jednak również tutaj poetka nie pozostawia czytelnika jedynie w dekadentkim nastroju, ponieważ proponuje znalezienie „złotego środka” na możliwie szczęśliwe, bezpieczne i spokojne życie mimo przeciwności losu. Wiersze, w których możemy odnaleźć elementy filozofii epikurejskiej oraz witalizmu to *Nie*, *Niewiele*, *Prośba*, *Życie*.

To właśnie w nich autorka stara się zaakcentować ponadczasowe dla każdego człowieka prawdy życiowe. Według poetki głównymi wyznacznikami osiągnięcia radości w czasie trwania istnienia są: wiara w nowe, lepsze jutro:

*póki co trzeba żyć
mimo wszystko*

nadzieja upatrywana w bożej opatrzności:

*i nie mów
że bóg już na nas nie zerka,*

miłości bliskich, wyzbycie się lęku egzystencjalnego: *i nie bać się więcej* na rzecz frywolnego życia cielesnego i pogodnego wnętrza duszy:

*tylko myśleć
i żyć (...)
tylko pić
i śmiać się
i patrzeć w niebo
i nie umierać.*

Obok wierszy poruszających tematykę niepewności, strachu, bólu i miłości, które są

skierowane do każdego człowieka, czyli tzw. everyman'a poetka w swoim tomiku przy pomocy sprytnie dobranych słów przemyciła również wiersze ukazującej jej osobowość. Do wierszy o charakterze w jakiś sposób autobiograficznym możemy zaliczyć *Ja, Kot, Grawitacja, Wszelchmoc*.

Oprócz wierszy, w których wypowiada się podmiot liryczny w pierwszej osobie liczby pojedynczej w *Dziennikach nieumarłych* są utwory, gdzie podmiotem lirycznym jest zbiorowość osób. *Nie, Realizm, S.O.S* to swego rodzaju apele i manifesty młodego pokolenia, któremu przyszło żyć w trudnych i niepokojących czasach. W czasach, gdzie indywidualizm jednostki, jej wyjątkowość, uczucia, marzenia, zostały zepchnięte na dalszy plan. Poetka nie oskarża nikogo o taki stan rzeczy jedynie stara się być głosem pokolenia, które ma w sobie wizję stworzenia lepszego świata, dzięki pomysłowości, sile, radości, czyli cechom typowym dla młodego wieku.

Na szczególną uwagę zasługuje również tytuł tomiku. *Dziennik* to forma wypowiedzi pisana w pierwszej osobie liczby pojedynczej, opisująca ważne wydarzenia i przeżycia z życia człowieka językiem pełnym emocji. Natomiast kontrowersję wzbudza tu przymiotnik *nieumarłych*. Autorce łatwiej byłoby zamiast słowa *nieumarłych* zastosować przymiotnik *żywych*. Jednak przymiotnik *nieumarłych* został użyty celowo by podkreślić rangę życia doczesnego oraz balansowanie między ulotnym i kruchym życiem a jego nieodłącznymi elementami, czyli przemijaniem i śmiercią.

Dzienniki nieumarłych to głośne echa słów ludzi jeszcze żywych a osławiających się z myślą o tym co nieuniknione, czyli drogą:

*gdzie wrota do Raju
stoją otworem.*

Dzienniki nieumarłych nie są zbiorem przypadkowych utworów, ponieważ są one odbiciem uczuć, myśli i reakcji poetki na otaczający ją świat. Autorka dzięki niezwyklej swobodzie doboru słów i odpowiednich środków stylistycznych takich jak epitety, powtórzenia, porównania, przenośnie, antytezy i uosobienia zgrabnie opisuje mnogość tematów związanych z egzystencją człowieka. Tak bogaty język poetycki sprawia, że część wierszy jest niezwykle bliska czytelnikowi a inna część pozostawia jeszcze wiele niedopowiedzeń i wieloznaczność interpretacji.

Beata Sudół-Kochan

Filary mojej kultury

Ponieważ zaistniało tyle nieporozumień na temat mojej kultury, chciałabym w tym miejscu podać chociaż jej najważniejsze aspekty. I są to istotne cechy, które odróżniają ją od innych

kultur.

Zacznijmy od tego, że Celt nie ma rodzaju żeńskiego. Podział na kobietę i mężczyznę odbywa się wyłącznie w ich sypialni i jest otoczony dyskrecją. W kulturze celtyckiej nie ma podziału na role męskie czy żeńskie. Wszyscy są sobie idealnie równi. Do dziś pamiętam dwie postacie trzymające się za ręce, które widziałam w Luwrze. I podpis: dwóch wojowników.

W kulturze celtyckiej nawet kot ma duszę. A zatem kiedy przejdę na drugą stronę lustra, będą tam na mnie czekali nie tylko wszyscy bliscy mi ludzie, ale i wszystkie koty.

Jest takie powiedzenie, bardzo charakterystyczne dla Celta: człowiek widzi następny dzień, Bóg widzi następne stulecie. Nie kłóć się z Panem Bogiem, bo i tak jest od ciebie mądrzejszy.

W kulturze Celtyckiej nawet Pan Bóg czasem musi wybierać mniejsze zło. Dlatego poświęcił Naród Żydowski, ale tym samym zakończył epokę kolonializmu. A jeżeli przysłał na ziemię Swojego Syna to po to, aby Ten stworzył system filozoficzny, który by zmienił oblicze świata. I tak też się stało.

W kulturze celtyckiej nie oplaca się popełniać samobójstwa. Ten, który nie miał dość odwagi, aby do końca przeżyć swoje życie, będzie musiał się urodzić jeszcze raz. I nie ma to nic wspólnego z reinkarnacją, choć są tacy, którzy nie widzą różnicy.

W kulturze celtyckiej honor znaczy tyle, co poczucie odpowiedzialności. Ludzie nieodpowiedzialni są pozbawieni honoru.

Pan Bóg jest przyjacielem człowieka, ale jak każdy przyjaciel ma prawo do posiadania własnego zdania. I to na każdy temat.

Pewien Irlandczyk stał przed swoim domem, kiedy zbliżała się powódź. Podpłynął jego sąsiad i mówi: wskakuj do mojej łodzi, zawiozę cię na suchy ląd. Ale Irlandczyk odpowiedział: Pan Bóg mnie ocali. Podpłynął następny sąsiad i znów odpowiedź była jedna. Mnie Pan Bóg ocali. Za trzecim razem sytuacja się powtórzyła. Irlandczyk utonął, dostał się do nieba i zaczął od pretensji do Pana Boga. A Pan Bóg powiedział: „Czy nie przysłałem ci na ratunek aż trzech łodzi”?

Istnieje takie powiedzenie, bardzo charakterystyczne dla wszystkich Celtów: Po to Pan Bóg dał ci rozum, abyś z niego korzystał, a skoro dał, widocznie był potrzebny. To odzwierciedla najlepiej sposób myślenia Celtów.

Kiedy Celt trafia do nieba, sądzą go wyłącznie ludzie. Dlaczego? Bo Pan Bóg przebacza zawsze, ale ludzie nigdy. Zarazem każde celtyckie dziecko wie, że musi robić wszystko, aby Pan Bóg na Sądzie Ostatecznym nie musiał się za nie wstydić. I jest skuteczniejsze, niż wszystkie groźby i obrazy z piekła.

I ostatni charakterystyczny filar myślenia każdego Celta: Zastanów się, zanim skrzywdzisz dziecko. Przecież wszystkie dzieci są wspólne.

I myślę tak sobie, że ja swojej własnej kultury nie muszę się wstydić. Choć może jest odrobinę odmienna od innych kultur na tej

planecie. Ale ona jest we mnie, czuję się w niej znakomicie i to chyba jest z tego wszystkiego najważniejsze. Czyż nie?

Anna Kieseletter



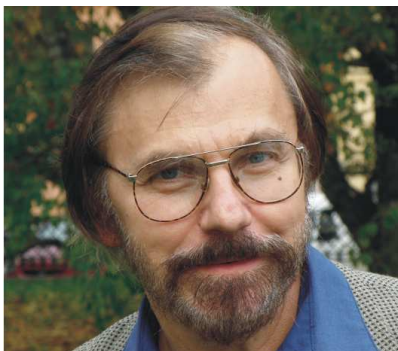
Znów książka A.K. Waśkiewicza

W kawiarni „Deja Wu” w Zielonej Górze odbyła się promocja książki autorstwa Andrzeja K. Waśkiewicza pt. „Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012”.

Praca zobaczyła światło dzienne staraniem oddziału ZLP w Zielonej Górze, Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica” i Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jednak należy podkreślić, iż pozycja – zredagowana i przygotowana do druku przez Eugeniusza Kurzawę - ukazała się również dzięki uporowi E. Kurzawy, przyjaciela Waśkiewicza. W promocji udział wzięła Anna Sobecka, żona autora książki, która przyjechała specjalnie z Gdańska. Natomiast w kawiarni „Deja Wu” (zlokalizowanej tuż obok rektoratu UZ) zgromadzili się przede wszystkim literaci, przyjaciele Waśkiewicza, słowem ci, o których pisał. Co ważne pojawili się również naukowcy z UZ, młodego i starszego pokolenia, którzy być może w swych pracach nawiążą do opracowań A. K. Waśkiewicza zawartych w promowanej książce, ale nie tylko. Książkę zaprezentował dyrektor Oficyny Wydawniczej UZ Ryszard Błażyński, a potem mówili o niej prof. Małgorzata Mikołajczak, Eugeniusz Kurzawa, Anna Sobecka. Wśród „głosów z sali” nie zabrakło wypowiedzi Janusza Koniusza, Czesława Sobkowiaka, Alfreda Siateckiego, Mirosławy Szott, prof. Ewy Narkiewicz-Niedbałec.

A cóż można powiedzieć o dziele? Zawiera najważniejsze szkice lubuskiego (sic!) poety, krytyka i edytora z jego okresu zielonogórskiego. Choć – należy wtrącić – część opracowań powstała już w Gdańsku, po wyjeździe Waśkiewicza z Zielonej Góry, co nastąpiło w 1979 r. Książka rozpada się na dwie wyraźne części. Pierwszą zawierającą pozycje o charakterze naukowym lub popularyzatorskim, mówiące o tworzeniu się i kształtowaniu w latach 60., 70. lubuskiego środowiska pisarskiego. I drugą, składającą się z 12 tekstów opublikowanych w czasopiśmie „Pro Libris”, pokazujących kilkanaście ważnych dla lubuskiego środowiska twórczych postaci, głównie poetów. Są to m.in. Janusz Koniusz, Anna Tokarska, Jan Kurowicki, Mieczysław J. Warszawski, Kazimierz Furman, Czesław Sobkowiak. Ten rozdział mówi o latach 90. i opisuje sytuację poetów w tym okresie. Całość poprzedza wstęp prof. Małgorzaty Mikołajczak, która m.in. zastanawia się, co by było gdyby A.K. Waśkiewicz w 1946 r. nie przyjechał z mamą na Ziemię Odzyskane, nie osiedlił się w Lubsku, Koźuchowie, a potem w Zielonej Górze...

Listy do Pani A. (81)

Zmartwychwstania
codzienne

Droga Pani!

Już od kilku tygodni mamy czas letni. Jest widniej, cieplej, wiosna zbliża się do swojej pełni. Można więc na świat patrzeć optymistycznie i lekceważyć to wszystko, co nas wcześniej irytowało. Nie wiem, jak Pani, ale ja mam tendencję do przemawiania się sprawami, na które nie mam wpływu. Bo jaki wpływ mogą mieć na politykę, na wszelkie idiotyzmy, zakaz używania przypraw w barach mlecznych, zakusy zakonnic, którym nie ubóstwo i skromność, ale bogactwo i pycha w głowie. Szarytki warszawskie chcą zniszczyć swój zabytkowy ogród, coś tam w nim budować, bo z tego będzie kasa. Seminarium duchowne na zakusy na Skarpę Warszawską. Łapy wyciągają się wszędzie. Już pisałem Pani o tym. Od tych wszystkich świętoszkowatych złodziei wołę postawę Jerzego Urbana, który nie wypierał się niczego, nie udawał kogoś, kim nie jest, otwarcie się przyznawał do swojego cynizmu, a kiedy wytknięto mu błędy rzeczowe w tygodniku, miał odwagę w sprostowaniu napisać: „ch... jestem nie redaktor”. Czy któryś z hierarchów czy osobników pomniejszych miałby tyle odwagi cywilnej, by przyznać się choćby do najmniejszego błędu? Ale po co ja Pani o tym piszę? Znow się będę niepotrzebnie nakręcał.

Ale jak tu się nie nakręcać, kiedy znowu jakiś oszalały „publicysta” twierdzi, że należy deportować z Polski i Europy wszystkich muzułmanów, w tym i naszych z białostocczyny. Sęk w tym, że nie wiadomo, jak ich selekcyjonować. Nawet hęsemu włos się jeży na głowie, kiedy czyta wypociny pogrobowca nazistów. I to gdzie? W Polsce!

Byłem kiedyś w Kruszynianach. Zachwyciła mnie serdeczność, życzliwość i gościnność tamtych ludzi. Przecież to, czy ktoś chodzi do kościoła, meczetu czy synagogi, albo nie chodzi nigdzie – to jest sprawa zupełnie nieistotna.

O ile jednak te poszczekiwanie i kwiki różnego autoramentu nierogacizny przeminą, o tyle poezja jako sztuka przetrwa, jeśli tylko będzie mówiła o rzeczach najważniejszych.

Pisałem już Pani o „Listach” Jerzego Jankowskiego, ale wspomnieć muszę o promocji tego tomu. Jak zwykle odbyła się w auli Domu Literatury. Nie przyszło dużo osób, ale poetyckie spotkania najlepiej udają się w kameralnych warunkach. Wiersze czytał znakomicie Andrzej Ferenc. O poezji mówiła Aldona Borowicz. Często dobroliwie pokpiwaliśmy sobie, że Aldona lubi długo mówić. Kiedy więc w pewnym momencie powie-

działa: „nie będę się rozwodzić”, Andrzej Tchórzewski szepnął do siedzących obok niego: „no, to mam przechłapanie”, poczym wstał i wyszedł.

Promocję książki Grzegorza Trochimiuka, świetnego poety a nowego naszego kolegi związkowego również prowadziła Aldona Borowicz. Najpierw mówił o książce Andrzej Wołosewicz. Kiedy przyszła kolej na Aldonę, odjechałem z kretešem. Obudziłem się dopiero, kiedy wiersze zaczął czytać Andrzej Ferenc. Potem powiedziałem Aldonie, że powinni wykorzystywać ją anestetyzodolody. Zdziwiona spytała dlaczego. „Bo bardzo skutecznie usypiasz...” – odpowiedziałem.

Oprócz spotkań wyłącznie literackich obracających się wokół twórczości jednego poety, ciekawie wypadają zbiorowe koncerty poetyckie, o ile nie są zbyt długie, i nie występuje od razu czterdziestu autorów. Niedawno w auli ZLP odbył się koncert poetycko-muzyczny „Przynoszę zapach minionych lat w koszu z wikliny”, wyreżyserowany przez Krystynę Woźniak, poetkę związaną z RSTK, i Czesława Gandę. Wzięło w nim udział dziesięcioro poetów. Sala była prawie pełna. Czytałem wiersze, i patrzyłem na publiczność. Wydawało mi się, że Pani jest na widowni, słucha, może się wzrusza. Przed koncertem była próba. Już myślałem, że mnie będą uczyć czytania własnych wierszy, ale okazało się, że Czesio Ganda, reżyser całego przedsięwzięcia, bardzo delikatnie i dyskretnie naprowadzał każdego na właściwy sposób interpretacji. Przeczytałem dzięki temu lepiej niż zwykle: wolno, z paузami, ekspresyjnie, choć na ogół czytam wiersze dobrze – tak przynajmniej mówią inni.

Wytworzył się miły, artystyczny nastrój. Wszystko zależy od ludzi. Tymczasem coraz mniej osób, które taki nastrój potrafią stwarzać, nawet w środowiskach, przynajmniej teoretycznie, twórczych. Woła intrygować, podgryzać, pomawiać, szkalować, nadymać się rzekomą szlachetnością, chał w gruncie rzeczy w środku są zwykłymi kanałiami.

Kanałie, zamiast wyzdychać, czują się dobrze, a ludzie wartościowi odchodzą. Zaraz się znowu ktoś obrazi, bo się poczuje „niedowartościowany”. Umarł Bogdan Tomaszewski, wybitny dziennikarz i sprawozdawca sportowy, człowiek obdarzony dużym poczuciem humoru, o przedwojennej wielkiej kulturze. Kto dzisiaj może się z nim równać? Tylko nieliczni. Inny jest świat, inna obyczajowość, ale tak i kultura są zawsze te same, i już na pierwszy rzut oka można odróżnić chama od dzentelmena.

Ale wróćmy do spraw artystycznych, bo ile można taplać się w błocie. Odbyła się promocja 6. numeru kwartalnika „LiryDram”. Pismo to jest dalekie od jakiegokolwiek polityki, podziałów, animozji, pyskówki. Taki profil pismu nadała Marlena Zynger redaktor naczelna, i taką atmosferę wprowadza na promocyjnych spotkaniach w warszawskim „Antrakcie”, kawiarni osobiłowej, pełnej portretów, obrazów, książek – jakby przeznaczonych z góry do artystyczno-literackich spotkań.

Numer 6. w części poświęcony jest Witkacemu, jako że rok 2015 został przez Senat ogłoszony rokiem Witkiewiczów – Stanisława (ojca) i Stanisława Ignacego. Napisałem w części, bo również dużo tutaj o Podhalu i tamtejszych artystach, m.in. o Bronisławie Koniecznej „Dziadońce”, Hance Nowobielskiej, Agnieszce Górkiewicz. A na okładce konterfekt Małgorzaty Karoliny Piekarskiej, warszawianki, pisarki i poetki, a w środku ciekawy i oryginalny wywiad z autorką „Klasy pani Czajki”. Bardzo Pani polecam ten numer „LiryDramu”.

Może więc nie jest tak źle, skoro wychodzą także tomi ki poezji. Te dobre może w niewielkich

nakładach. Ale czy poezja może liczyć na milionowe nakłady? Zawsze była sztuką elitarną. Teraz elity się skurczyły na korzyść jelit, stąd ogólne wrażenie, że Polacy nie czytają. Oto gorąco zachęcam Panią do przeczytania „Koneksji”, czyli wyboru sonetów Krystyny Koneckiej, z lat 1978-2013. Konecka – „Koneksje”. Czuje Pani te językowe klimaty? Krysią zresztą bardzo lubi bawić się słowem, wynajdując kalambury. Przypominam sobie jak kiedyś w trakcie poznańskiego Międzynarodowego Listopada Poetyckiego jechaliśmy samochodem na jakieś spotkanie, i zanosiliśmy się śmiechem wymyślając najróżniejsze żarty i łamańce językowe. Uważam, że tylko ktoś mający wyobraźnię językową może być dobrym poetą. A Krystyna Konecka jest znakomitą poetką, uprawiającą – jak Pani zresztą wie – trudny gatunek, jakim jest sonet. „Koneksje” są pięknie wydane; jest to wybór dwujęzyczny, polsko-angielski. Wiersze tłumaczyła Ewa Sherman. Bardzo polecam Pani tę książkę.

Zupełnie inne wiersze prezentują w swoich tomach Oliwia Betcher oraz Agnieszka Syska. Utwory Oliwii Betcher z debiutanckiego tomu „Poza” (Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*) mają dosyć rozlewną, szeroką frazę, ale bardzo się różnią od innych wierszy pisanych w podobnym stylu. Przede wszystkim w poezji Betcher nie ma wielosłowa. Wszystko tu jest potrzebne, świetnie osadzone w kontekście wiersza, pełni rolę służebną wobec przesłań. To bardzo dobra, nowoczesna poezja, indywidualna, precyzyjna. I wbrew tytułowi nie ma tu „pozy” w złym tego słowa znaczeniu. Można powiedzieć, że debiut bardzo dobry.

W tej samej oficynie ukazał się tom Agnieszki Syskiej „Abecadło strzęgło”. Wiersze oryginalne i naturalne, odwołujące się do wrażliwości i wyobraźni językowej czytelnika. Trudno je interpretować jednoznacznie. To jest poezja, którą się wyczuwa pośród słów i pojęć, samemu kreuje się ją wewnątrz, ale wrażenia z lektury nie dają się od razu zwerbalizować. Można powiedzieć, że utwory te to jak „dusza poezji”. Czuje się, że jest, ale nie sposób ją uchwycić i wyrazić językiem dyskursywnym. Nie każdy może znaleźć odpowiedni klucz do poezji Syskiej. Jedni się zachwycają, by nie wyjść na profanów, inni lekceważą. Prawda tej poezji jest zakodowana w nas samych. Nie ma chyba drugiego poety, który potrafiłby tak pisać.

Dostałem też tomik Marty Pelinko „Poza ramami”. To poezja bardziej tradycyjna w formie, ale również ekspresyjna, wyważona, wiele tu akcentów filozoficznych. Głęboka liryka Marty Pelinko niesie wiele ważkich przesłań, jest zdystansowana do rzeczywistości oraz własnego losu. Poetka wyznaje: „nie potrzebuję już / własnych prochów na przetrwanie / w nich umilkła / walka z wiatrakami”. Świetne, refleksyjne wiersze.

Może warto częściej się dystansować? Wchodzić w świat wyobraźni, poezji, języka, w swoisty sposób zmartwychwstawać do życia autentycznego, odrzucając zgiełk i sztuczność codzienności. Ale i ta codzienność także nas jakoś buduje. Życzę więc Pani znalezienia własnego azylu, świątecznowiosennego optymizmu i wielu owych oczyszczających „zmartwychwstań” –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



10 lat bez Jana Pawła II

W wielu katolickich krajach już za życia mówiono o nim „Wielki”. Bilans jego życia i jego pontyfikatu jest imponujący. Ocalił Kościół katolicki przed sprzedażą na rzecz nowoczesnej dowolności pozbawionej hamulców. Dzisiaj, gdy wszelkie treści adresowane do młodzieży rozmywiają się w ironii, przesłanie papieża odznaczało się mistyczną stałością, choć niektórzy twierdzili, że przez jego konserwatywizm zaprzepaszczone zostało wiele spraw... Właśnie mija 10 lat od jego śmierci...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Pontyfikat Jana Pawła II rozpoczął się w starym świecie mroźnego podziału na dwa polityczne bloki, dogasał zaś w przegrzonym świecie kapitalizmu bez alternatywy, funkcjonującego na wysokich obrotach.

Był biskupem całego świata. Odwiedził 129 krajów, wygłaszał homilie do milionów, łączył wiernych w jedną wspólnotę. Nawet w ostatnich godzinach śmierci i w dniach następnych miał potężnego sprzymierzeńca: opinię publiczną.

Prawie każdy zna jego życiorys, przynajmniej w hagiograficznym skrócie. W 1946 roku Karol Wojtyła otrzymuje święcenia kapłańskie, w 1958 zostaje biskupem, w 1967 – kardynałem, w 1978 – papieżem. Co dekadę nowy szczebel w karierze, i to nie przez przypadek. Złożyła się na to wielka konsekwencja w dążeniu do celu i wręcz niewiarygodna pracowitość. Coś takiego nie wydaje się możliwe bez poczucia posłannictwa. Zawsze wyczuwało się w nim swego rodzaju boską żarliwość, która udzielała

się innym. Jego epoka przypadła na okres schyłku ideologii, bezradności i odrady do życia, zredukowanego do wymiany towarowej.

Całe swoje życie starał się być bezkompromisowym. Żądał bezwarunkowego posłuszeństwa. Jego teologia moralna zawsze oburzała krytyków. Znamienny jest przy tym fakt, że obecnie to właśnie apele o czystość i monogamię wywołują największe oburzenie. Szczególnie w krajach Pierwszego Świata.

Przy okazji swojego srebrnego jubileuszu papież raz jeszcze sprecyzował swe stanowisko w sprawie celibatu: *Dla Kościoła i dzisiejszego świata świadectwo czystej miłości stanowi z jednej strony swego rodzaju terapię duchową dla ludzkości, a z drugiej – protest przeciw czynieniu idola z popędu seksualnego*. Nie trzeba dodawać, że nakazywał postępować jak najsurowiej z winnymi pedofilii we własnych szeregach, choć niektórzy twierdzą, że było akurat odwrotnie.

Stosunek Jana Pawła II do aborcji był wręcz szokująco anachroniczny – ale też nigdy nie uważał się za egzekutora ducha epoki. Nie, ten papież wymagał zawsze sporo wyrzeczenia się samego siebie, całkiem nie w duchu oświecenia – ale właśnie to trafiało do ludzi.

Odczuwał szczególną więź z młodzieżą – a młodzież z nim. Był popularniejszy niż Rolling Stones, występował dłużej niż Madonna... Młodzież czuła, że on ją traktuje poważnie – także wtedy, gdy wygłaszał reprimendy. Kochała go – gdy umierał – wielu nastolatków biwakowało w śpiworach pod jego oknem na placu św. Piotra – na ostatniej warcie. Karol Wojtyła pokazywał się z Bobem Dylanem, medytował, przemawiał do religijnych uczuć nastolatków, zawsze (od czasów śpiewającego i płaczącego św. Augustyna) tak bliskich ekstazy. Myślę, że jeszcze przez wiele lat będą trwały spory to, czy Jan Paweł II był papieżem integracji, czy podziału. Na pewno szukał pojednania z Żydami i wielkimi religiami świata. Kościołowi katolickiemu podnosił poprzeczkę, zamiast ją opuszczać. On, któremu zarzucano popularyzację i trywializację wiary, wygłaszał zawsze gorące kazania przeciwko nadużywaniu krucyfiksu jako modnego rekwizytu, przeciwko krzyżkowi z brylantów u Beckhama, Liz Hurley, czy Catherine Zeta Jones.

Trzeba więc ten pontyfikat widzieć jako kontrofensywę. Chociażby tych 1300 dokonanych przez niego beatyfikacji i 500 kanonizacji – więcej niż za czasów wszystkich poprzednich papieży razem wziętych. To trochę tak, jakby przeciw całemu chocholemu cyrkowi idoli i ikon kultury masowej postanowił wystawić swoją katolicką armię. A opowieściom o absurdalnym bogactwie, blichtrze i basenach kąpielowych, chciał przeciwstawić innych bohaterów. Takich na naszą miarę i możliwości. Takich o niezachwianej moralności, którzy potrafili żyć, ofiarowując innym siebie i swoje cierpienie – jak na przykład Matka Teresa.

Media do tego stopnia kochały papieża, że praktycznie do końca puszczały mimo uszu jego radykalizm w kwestiach socjalnych. W rzeczywistości jednak papież Jan Paweł II w

swoich encyklikach konsekwentnie wypowiadał się przeciw bogatym i potężnym. Jego walka przeciwko syrenim śpiewom rynku była znacznie bardziej zażarta niż niegdyś walka z komunizmem. Ale pod tym względem rozumiała go młodzież, uznając niemalże za sprzymierzeńca-wywrotowca, jako że właśnie młodzi ludzie – przy całym swym zafascynowaniu konsumpcją – zawsze otwarcie są na hasła wyrzeczenia się jej złudnego uroku.

Niestety, pod koniec życia Jan Paweł II z coraz większą goryczą obserwował wielkie triumfy systemu kapitalistycznego i nihilizmu. W świętym roku 2000 piętnował odwrócenie wartości. Być może prawda jest tak, że Ojciec Święty triumfował właśnie w swoich klęskach. Nie doszło do spotkania z Patriarchą Moskwy Aleksym II. Nie był w stanie zapobiec wojnie w Iraku, jednak jego sprzeciw wobec niej przyniósł mu podziw i miłość. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej wzruszającego niż modlitwy o pokój, wygłaszane przez papieża w wózku inwalidzkim, bezwładnie przechylonego na bok, jak obalone drzewo. I to jak pielgrzymowali do niego najpotężniejsi tego świata, a on ich bez wahania upominał.

Ten chłopak z Polski – jak mawiała o nim niemal cała prasa zachodnia – przeszedł swoją drogę imponująco, bez zachwiania. Za jego lwią odwagę i miłość, za wszystkie batalie i bezkompromisowość, które uchroniły wiarę od trywializacji i pozostawiły spuściznę dla Kościoła, jesteśmy winni mu wdzięczność.

Po śmierci Jana Pawła II polski Kościół katolicki stanął na skraju wielkiej czarnej dziury. Nie tylko powodu szacunku dla papieża w Niemczech, w Polsce nigdy nie dyskutowano nad skutkami jego odejścia. Tabu, jakim otoczono śmierć papieża, wynikało nie tylko z popularności byłego arcybiskupa Krakowa, lecz także z obawy przed skutkami jego zgonu. Ten stan letargu trwa do dzisiaj.

Po raz pierwsze słowo „śmierć” w związku z chorobą papieża pojawiło się w polskich środkach masowego przekazu w przedostatnim dniu jego życia. Podczas, gdy media zachodnie już od dawna spekulowały o bliskim zgonie następcy św. Piotra.

Wiele osób tę jego wielkość nazywa świętością, świętością, która przez cały pontyfikat miała ciało Jana Pawła II. Dawało się to wyczuć przez ostatnie dwa dni życia naszego wielkiego rodaka. Jego śmierć stała się miarą człowieka, która znacznie wykraczała poza to, co naturalne i nawet najpiękniej ludzkie. Szkoda tylko, że to wskazanie z taką bezduszością, odartą z wszelkiej tajemnicy, psuły media, urządzając festiwal „śmierci papieża”.

Jan Paweł II umarł tak, jak żył: odważnie, wciąż świadomy odpowiedzialności za świat. Niechajże tej odpowiedzialności i nam nie zabraknie, szczególnie wtedy, gdy ...brakuje nam słów, brakuje gestu i znaku...



JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (55)

(fragmenty)



Na tydzień przed jubileuszem 40-lecia twórczości poetyckiej Adama Ziemiannina i mojej w Teatrze Groteska – wszystkie bilety na imprezę – każdy po 25 złotych – zostały wyprzedane. W sumie – 300.

A więc może nie jest tak źle z odbiorem poezji i może Polacy wyżywają się nie tylko we wzajemnym obcinaniu sobie lotek, co oznajmił mi osobiście, dotąd znany tylko telefonicznie, Andrzej Słabiak, aktor, pieśniarz w gabundzie, brat-lata z Chicago. Przyjechał na nasz koncert z Ameryki. Ten człowiek ma szeroką, malowaną rozmaitymi barwami duszę, kresową fantazję i trudno się dziwić, że jest jak nieuregulowana rzeka, która nie mieści się w brzegach. Bardzo ciekawe poznanie przy kieliszkach martella.

Sam jubileuszowy koncert, który miał miejsce 25 lutego o godzinie dziewiętnastej, tak został opisany przez młodą poetkę i dziennikarkę Małgorzatę Lebdę w „Rzeczpospolitej Kulturalnej”, nowo powstałym miesięczniku ukazującym się od stycznia w Londynie:

„Jubilatów łączy od czterdziestu lat przyjaźń i sztuka poetycka, ta z wiersza Józefa Barana:

*to równoczesny błysk spojrzeń
na ziemię i Ziemię
z perspektywy księżycza
i przez
najczulszy mikroskop*

*stara sztuczka wykradziona bogom
hartowania rozżarzonych chwil
w lodowcu Wieczności:
chwilowe granie na nosie przemijaniu*

Grali i grają na nosie przemijaniu, wciąż w ten świat czytelników i przyjaciół. To właśnie z inicjatywy bliskich im ludzi: Janusza Palucha, dyrektora Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie oraz Wiesława Nowaka, prezesa Fundacji Bronisław Chro-

my Art, w Teatrze Groteska spotkali się na serwowanej przez poetów uczcie słowa rodzina i przyjaciele, liczna rzesza czytelników, aktorzy, profesorowie, przedstawiciele władz miasta.

Na scenie pojawił się znakomity konferansjer związany z Piwnicą pod Baranami, Marek Pacuła. Po przeciwnych stronach estrady ustawiono stoliki, jedna strona miała symbolizować Borzęcin i tam zasiadł Józef Baran, druga Muszynę, gdzie zajął miejsce Adam Ziemiannin. Nad głowami poetów widniały napisy ze słowami Boya: »W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz«...

Zarówno z Borzęcina, jak i Muszyny specjalnie na tę okazję przyjechały delegacje z darami, dając tym samym wyraz uszanowania, przyjaźni i pamięci wobec poetów.

Poruszająca recytacja wierszy Jubilatów przez wybitnych aktorów, Dorotę Segdę, której nawet »na sukience zakwitły maki« z wierszy Adama Ziemiannina, oraz Jacka Romanowskiego, wprowadziła widownię w mikrokosmos ich poezji.

Uczta słowa i pieśni trwająca ponad trzy godziny nie mogła nie być zakrapiana muzyką i śpiewem. Wiersze poetów i dla poetów zaśpiewali m.in. Ania Kloc z zespołem Sami o Sobie, Ola Maurer, Beata Paluch, Kinga Rataj, Agnieszka Rosner, Elżbieta Wojnarowska, Jerzy Bożyk. Towarzyszyli im wspaniali muzycy: Marek Bazela, Michał Chytrzyński, Adrian Konarski, Edward Zawiliński. Obecny był również wybitny kompozytor i przyjaciel poetów, Andrzej Zarycki. Wręcz brawurowym wykonaniem wierszy Józefa Barana olśnił obecnych aktor i pieśniarz, Andrzej Słabiak, który na tę okazję przyjechał specjalnie z Chicago.

O serdeczności i rodzinnej atmosferze panującej w teatrze, świadczyć może również fakt i sposób nadania poetom żartobliwych orderów za uporczywą przyjaźń, otrzymanych z rąk prezesa Fundacji Bronisław Chromy Art – Wiesława Nowaka oraz prowadzącego Marka Pacuły.

Poeci dostąpili również kolejnego zaszczytu, gdy Rada do Spraw Wysokich Odznaczeń Poetyckich po swoim posiedzeniu w dniu 24 lutego, zakończonym o 4.37 toastem: »Precz z politykami, niech żyją poeci!« postanowiła przyznać Jubilatowi Srebrny Krzyż za zasługi, a ponieważ zasługi obu Panów wydały się Radzie bardzo zbliżone do siebie, Rada obu Panom przyznała jeden Krzyż z sugestią, by nosili go na zmianę, w dni parzyste: Józef Baran, w nieparzyste: Adam Ziemiannin, poczynając od dnia 1 marca.

Wzruszenie udzieliło się i widowni, i poetom, którzy zakończyli galę swoimi nowymi wierszami”.

Dalszy ciąg imprezy, już w szczupłym gronie wykonawców i najbliższych osób, odbył się w Piwnicy pod Baranami. Przypląciłem radość zagubieniem się wraz z Wojtkiem Koronowiczem i Andrzejem Słabiakiem w

alkoholowej mgle. Po czym odnalazłem się... w Maroku.

Jedno oko na Maroko...
fragmenty mozaiki podróży

Maroko. Prawda, że tajemniczo brzmi? Mroczno-baśniowa, hebanowa nazwa. Dlaczego by tam nie polecieć? Łowić refleksy i nastroje dochodzące jak echo z własnego, dalekiego dzieciństwa zatopionego w arabskich baśniach z tysiąca i jednej nocy. Chłonałem je jako mały chłopiec w zimowe wieczory przy lampie naftowej także ze względu na ich niezwykle ilustracje. Kobiety na wpół zasłonięte chustami, zza których błyskają twarze jak odwrócone sierpy księżyców zza chmur. Latające dywany, przyćmione abażurami światła, stiuki, mozaiki, koronki...

Więc poleciałem.

Dziś podróże są jak włamanie w inny czas i w inną przestrzeń. Od razu, za jednym zamachem. Bez gry wstępnej, bez drugich dyliżansowych przygotowań, jak to drzewiej bywało. Niepokojąco łatwo i szybko możemy zamienić sobie pory roku, kraje na kraje, twarze na twarze. Samolot jest Kubą Rozpruwaczem cumulusów, stratocumulusów, niebotycznych wysokości. Nie patyczkuje się z granicami, kulturami, religiami. Ma za nic odległości. Gwałci przestrzenie.

Tym razem też na moich oczach zgwałcił czas i przestrzeń i włamałem się za jego pośrednictwem, jak do sezamu z egzotycznymi skarbami, do El Maghreb El Aksa – Krainy Zachodzącego Słońca.

A jeszcze 100 lat temu ów kraj był jak solidny zamek pancerny zamknięty na wiele spustów...

Od razu trafiłem też – przez przypadek – na marokańskie wesele odbywające się w hotelu w Agadirze, gdzie zamieszkałem. 150 zaproszonych gości, każdy z jakimś prezentem obwinieństwem w marokańskie cynfolie; ja i poeta Wacek Kostrzewa z Pszczyny bez prezentów, za to w roli anonimowych gapiów; oko w oko, ucho w ucho z ludźmi tak mi wczoraj jeszcze nieznanymi i dalekimi, a dziś przez chwilę pozornie bliskimi, bo na wyciągnięcie ręki...

Najpierw powitanie każdego gościa przez rodziców państwa młodych i kapelę. W holu, przy szklanych drzwiach wejściowych siedmiu grajków w białych szatach z białymi zawojami na głowach, solistka w długiej szmaragdowej galabii oraz mała kobietka-akrobatka w czerwonej czapeczce wywijająca ucieszne kozły w powietrzu – wrzeszcząca i zawadiacko przytupująca. Potrząsają bębenkami podobnymi do przetaków, dzwoneczkami, rzępolą na trzystrunnych gunbriach. Mnóstwo krzyku, hałasu, radosnego zawożenia. Obcałowowania się: mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami.

cdn.

Wiersze ze świata bajek

Tomik ten otwiera wiersz pt. „ściernisko”, w którym autor pisze: „boso przejdź // jak dojdiesz / do chlebowego pieca / chrupiące drzwi otworzy / Piekarz // w rumiany zapach / pójdziesz // przed tobą / bochenek chleba”. Wiersz nader prawdziwy, stanowiący jakby metaforę ludzkiego życia, bo właśnie chleb – to ta konieczność egzystencjalna, bez której życie staje się niemożliwie. Ileż to ludzi są w stanie zrobić złego innym, dla kawałka tego, powszechnego chleba. Zdaje sobie z tego znakomicie sprawę krakowski malarz, ale i poeta – **Kazimierz Machowina**, którego długie życie najeżone jest wspomnieniami o historii Polski, na marginesie której przyszło mu żyć, a nawet w niej aktywnie uczestniczyć. Tytuł tego tomiku brzmi z rosyjska, a mianowicie: „Skazka”, co po polsku znaczy po prostu bajka.

Zbiorek zawiera 21 krótkich wierszy napisanych prostą polszczyzną, ozdobionych rysunkami autora, które poniekąd sprawozdają metaforycznie przeżycia malarza podziwiającego prostotę rzeczy w świecie, w której widzi tyle ważnych symboli, ale i wartości, dla których pomimo ciężkiego losu artysty-człowieka, warto żyć i tworzyć, by ludzie nie zapomnieli na czym polega los człowieka, członka naszego narodu. Najbardziej wstrząsają go przeżycia ostatniej wojny, tej doświadczonej na Wschodzie, tj. rzezi Polaków na Ukrainie, ale i zbrodnia katyńska, które ciągle tkwią w jego pamięci, a którym poświęcony jest wiersz tytułowy owa „skazka”, gdzie czytamy: „jest ranek zbudzony marszem tysięcy / ziemia drży / (...) / strzelają w tył głowy / prosto i miarowo / warstwami zwłoki układają / pod wieczór zasypują dół / równają kopytami piach / sadzą sosnowe drzewka // ziemia całunem się kładzie”. Te tragiczne wydarzenia nakładają na autora powinność pisania o nich, by pamięć ocalić, i by przestrzegala innych przed bezsensownymi zbrodniami.

Machowinę fascynuje również klimat duchowy wschodniego chrześcijaństwa, jego architektura, malarstwo, ale i ich harmonijne związanie z krajobrazem. W wierszu pt. „pejzaż z Rybotycz” czytamy: „Nad rozlaną zielenią / w gęstwinie skrzydeł / Chrystus Pantokrator / ogniem złotym / rozpala połoniny / wilczym echem kołysz / na wieczór zaprasza // pędzą owce / za nimi pasterz / Carskie Wrota zamyka”.

Z wiekiem coraz bardziej tęskni do świata przyrody, żywiołów natury, ale i ojcowizny, która kiedyś określiła jego osobowość, ale i tożsamość twórczą. Wszystko, co poecie te rodzinne miejsca przypominają, budzi w nim namietności, podziw, ale i pozytywne odczucia. Tymi wierszami jakby modli się do Stwórcy, bo wie, że jego Opatrzność czuwa nad nim, pozwalając mu na pogodę ducha w tym szybko zmieniającym się świecie, który nie koniecznie

jest przyjazny człowiekowi.

Tomik ten jest wart uwagi Czytelnika ze względu na swą interesującą zawartość poetycką, ale i piękne, estetyczne wydanie, w którym kreska rysunków autora świetnie współgra z czarną czcionką liter jego wierszy, co pogłębia percepcję wartości, przy których ob staje twórca.

prof. Ignacy S. Fiut

Kazimierz Machowina, „Skazka”. Wstęp: Andrzej Warzecha. Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2014, s. 48.

Dwa maty Zynger

W swoich „Dwóch matach” **Marlena Zynger** już od pierwszego wiersza pod wiele wyjaśniającym tytułem „zniewoleni” bierze się za bary z rzeczywistością. I to tą najbliższą, współczesną, teraźniejszą. Nawet specjalnie jej nie metaforyzując. Czy koloryzując jej „bohaterów” rządzących światem. A jednak mocno to przemawia do wyobraźni czytelnika. To starcie niczym na macie zapasniczej.

Temat ten ma zresztą ciąg dalszy w kolejnych wierszach, jak choćby „miejscu spoczynku”, gdzie piętnuje tych, którzy nawet z cmentarza potrafią zrobić miejsce wystawowe. Wiencząc swe niewesołe, acz prawdziwe do bólu spostrzeżenia zaiste chwytają puentą. I choć nie ma tu zbędnej egzaltacji czy wygórowanej nadliryczności – jak to częsta bywa – wersy te mają w sobie moc literackiej magii.

Jeszcze bardziej poetycko i metafizycznie robi się w odpryskach rzeczywistości zobrazowanych miniaturowymi „Rekolekcjami”, będącymi swoistym haiku. Tudzież w malowniczych, choć też nieprzesadnie (i dobrze!) „bursztynach”.

Autorka potrafi przejmująco manifestować swoje podejście do życia. W wymownych słowach i nie owijając zανάdo w bawełnę. Co mocno odróżnia ją od fałszywej eufemistyki (na szczęście!). Łatwo można to sprawdzić w „obudźcie mnie”. Gdy zaś ma się chęć na kpinę z tak przecież poważnie traktowanej „na salonach” poezji, warto sięgnąć po kapitalnie spuentowane „nigdy nie kochaj poety”, gdzie Poetka okazuje swój rewelacyjny dystans do tematu i siebie samej.

Taka „instrukcja obsługi” natomiast, lub kapitalny „niewidzialny most”, dają gotowe recepty i rady na udany, zgrany i wiecznie ciekawy związek. Oraz na to jak poznawać się najskuteczniej. Znać, że Marlena Zynger sporo wie o życiu i miłości (vide choćby „kochanka”). Tymczasem młodość i mądrość życiowa to rzadko idące w parze połączenie cech. To zaś jak plastycznie i sugestywnie umie kreślić świat w podmalowanych z wyczuciem poezją, obrazowych wersach, widać jak na dłoni w „domu przy kanale”. Oto pióro jak wehikuł do prze-

mierzania czasu i przestrzeni – także tej uczuciowej. Niemal jak w „Kasprowym”, gdzie wynosi nas on na swych skrzydłach hen ponad górskie szczyty i granie, a potem zostawia na tatrzańskich szlakach. To pióro jak pędzel z kolei.

Autorka umie zarazem niczym wprawny anatom rozebrać człowieka na cząstki pierwsze. Począwszy od ciała przez umysł po duszę i emocje. Kto nie wierzy niech wejrzy do „Racji potrójnej”, „winnej dominanty” albo „mojego przejściowego stolika”, gdzie Marlena udowadnia, że zna się na alkoholu i najzwyczajniej w świecie lubi się napić – po ludzku, ale z klasą. A to nie bez znaczenia, bo pokazuje człowieczeństwo mimo pierwiastka boskiego w talentcie. W iście poetyczny sposób tym razem. Podobnie zresztą w „zwątpieniu” choć w zgoła innym kontekście. Z kolei „Hiob inaczej” pokazuje nas samych od oryginalnej strony i pod kątem „od wewnątrz”. Przy czym przewrotna puenta pozwala tu zajrzeć pod podszewkę rzeczywistości od zgoła nieoczekiwanej strony. A już najlepiej, gdy dzieje się to w dosłownie kilku słowach, jak na przykład w „na oslep” czy w „miłości” (tak niebanalnego sztychu na ten temat szukać można ze świecą). I gdy nie sięga się po absolut, a po własną ziemię jak choćby w „warszawie”. Mniej za to bierzemy obrotu pesymizm „niedopasowanych”. Choć trzeba przyznać, że odmówić celności tej chirurgicznej sekcji małżeństwa nie sposób. Tak jak i lekcji pogładowej dotyczącej miłości w „reglamentacji”.

„nadzieja” – piękne. Trzeba mieć jej pointy świadomość i odpowiedzialność jeśli chwytają się za pióro, ot co. Literaci! Mieście się na baczności!

Przenikliwości nie można nie dostrzec w „upada Troja, by powstać mógł Rzym”. Ani fascynacji klasyką (nie tylko zresztą tu). Cóż począć, gdy muza porusza zmysły i atakuje nawet literackie kubki smakowe jak w „zamiast”, jeśli nie brać i kontemplować to niczym Ewę Adam?

Kimże jednak byłyby Kobieta jeśli nie potrafiłaby wsadzić bolesnej szpileczki w kilku ledwie słowach? „idealizacja”. Pióro niczym igła? Można odczuć. I wziąć do serca jak wypowiedź wyrażoną w „wyborze”. Dzięki któremu każdy uważny czytelnik może zajrzeć w głąb własnego ja. Obrazowa rzecz. Tak jak „zły garnitur” w rzeczy samej. Dobrze pomysły nieodmiennie są w cenie. Bo nie sama szata zdobi Poetę...

„Dwa maty” wreszcie, dają podwójne „gardé”, od strony królowej dla odmiany. Trzeba więc uciekać, bo jesteśmy w tym miejscu niebezpiecznie blisko końca partii dywagowania na temat ludzkiego braterstwa. Niełatwo się nie zgodzić. Krótki i konkretny mecz, kropka. Słowem: co strona i wiersz to ciekawa, odkrywczą i mocna historia wyłania się spomiędzy wersów. Z czystym sercem więc zapraszam do tej fascynującej szachowej rozgrywki z poezją.

Mateusz Koprowski

Na zdjęciu wciąż żyjemy

Obok wielu spotkań literackich i promocji książek w Domu Literatury w Warszawie, to wydarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, jakże wysublimowana, trudna i inna jest poezja **Elżbiety Musiał**. Nie mieści się w granicach „powszedniej” uwagi czytelnika. To poezja warta głębszego nad nią zastanowienia, wymaga wręcz wniknięcia pod powierzchnię słów i wydobywania doznań nie do zapomnienia.

Lutowa promocja dwóch książek Elżbiety Musiał odbyła się z udziałem prof. Andrzeja Zieniewicza, Aldony Borowicz i Andrzeja Wołosewicz. Obecny był także Stanisław Nyczaj z Oficyny Wydawniczej STON2 w Kielcach, który był wydawcą tych pozycji. Spotkanie prowadził prezes Warszawskiego Oddziału ZLP – Marek Wawrzekiewicz. Wiersze czytała (znakomity przekaz) Krystyna Czubówna, a Michał Zapała na strunach gitary malował dyskretne tło pomiędzy głosami wyżej wymienionych.

Elżbieta Musiał uprawiała malarstwo sztalugowe, a aktualnie grafikę komputerową. A czym jest dla niej poezja? Jaką jest poetką? Z pewnością szuka siebie, chociaż to nas przede wszystkim wprowadza do swoich poematów i przekonuje, że warto poznać je aż do rdzenia znaczeń, do trzewi słów. Odwołuje się do filozofii i wielkich dzieł literackich, ale pisze przede wszystkim sobą, własnymi doświadczeniami, odczuciami i przemyśleniami. Wczytując się w poematy, wchodzimy w głąb obrazów łączących elementy sztuki, filozofii, etyki. Żywy, poetycki język autorki wpisuje się jednocześnie w naszą codzienność, odsłania również okrucieństwo świata. Zaskakuje dzięki metaforyce i nowatorsko ukazanej warstwie refleksyjnej. Nowe wiersze zebrane zostały w tomiku „Ja, o jednym imieniu”. Natomiast poematy były już znane, ale wydane pod wspólnym tytułem „3 poematy” nabierają większej mocy, głębi i siły przekazu. Są bowiem poetycką triadą.

Wiersze poetki można omawiać w różny sposób i nie da się w kilku słowach streścić tego, co one nam przekazują.

Nie wsłuchuj się w kartkę papieru, nim upadnie na nią słowo.

Powie to, czego nie chcesz usłyszeć.

Wsłuchuj się we własną klęskę.

Odśloni więcej, niż był chciał.

„Ja, o jednym imieniu”

Profesor Andrzej Zieniewicz zauważył, że największym problemem poetów jest połączenie obrazu i myśli. Obraz grawituje w kierunku symbolu (do rdzenia słowa), myśl oddzielnie biegnie. A Musiał potrafi opowiadać pełnią poetyckiego obrazu. Autorka myśli poematami. Stąd kolejno ukazywały się „na

śmierć zegarka, przejechanego zimą przez samochód”, „Na zdjęciu wciąż żyjemy” i „Ars moriendi, czyli podręcznik czynności nieużytecznych”. Poetka dotyka w nich czasu, także pozaziemskiego, kosmicznego i tego, którego nie potrafimy poznać, ani zrozumieć.

Pierwszy z poematów to elegia na cześć przejechanego (w sensie dosłownym) zegarka. Zegarek wyznacza tu czas i rytm biologiczny autorki. W drugim poemacie czas rozpięty jest pomiędzy tym, co zapisała nawet odległa historia a współcześnie dziejącymi się zdarzeniami. Natomiast zdjęcie, na którym wciąż żyjemy, zatrzymuje nasz czas, naszą własną, prywatną kronikę życia. Trzeci poemat odnosi się do śmierci.

Minął rok, kiedy miałam w dłoniach wydruk komputerowy „Ars moriendi”. Wtedy z powodów osobistych nie byłam w stanie go czytać. Sama byłam uwikłana w poznawanie śmierci – niejednej w krótkim czasie (znowu ten czas), obcowanie z nią i rozpaczliwy krzyk niezgody na jej panowanie. Musiałam ośwoić się najpierw z perspektywą, z której łatwiej przyjdzie mi zaglądać w oczy słów autorki „Ars moriendi”, własnych emocji i przemyśleń. Poemat jest przejmujący. To rozprawa na temat egzystencji i przemijania. Temat trudny, dlatego poetka dla ulżenia czytelnikowi pozwoliła sobie na groteskę i pewien humor. Jest to także zapytanie, po co zostaliśmy stworzeni, co robimy w tym świecie.

Aldona Borowicz zwraca uwagę, że wszystkie poematy E. Musiał są przepelnione miłością, jej głębią, próbą zrozumienia ciągłości czasu i miłości właśnie. Jak mówi sama poetka, język poezji wydaje się być najbardziej precyzyjny do wyrażania zjawisk niedefiniowalnych, niewyobraźalnych, tajemniczych. W pierwszym poemacie frapowała E. Musiał definicja czasu, postanowiła rozprawić się z tematem. Kiedy zaczęła pisać drugi poemat, stwierdziła, że jednak jeszcze nie uporała się z jego pojęciem. Postanowiła temat rozszerzyć, rozpiąć jak horyzont. I otwiera na koniec kosmos. Czy czas „tam” ma być bezużyteczny? – pyta w poemacie. Wydawca książek E. Musiał Stanisław Nyczaj przekonuje, że trzeba otworzyć się na interpretację. Chociaż lektura budzi dreszcze, to przecież odkrywa wiele spraw tajemnych, ukazuje nam perspektywę dalszą.

Powróćmy na chwilę do poematu „na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód”. Autorka znajduje zimą na śniegu, od którego kostnieją ręce, w samochodowej koleinie, mały, damski zegarek. Podnosi go i przeżywa wstrząs. Jakby ją wyrwano ze snu i otworzyły się wrota przepaści. Jak zauważył w Posłowniu do poematu Krzysztof Gąsiorowski, czas, z którym dotąd pozostawała w zażyłości, w psychofizycznej równowadze nagle ruszył, porzucając ją oniemiałą, na pustyni życia. Mały, damski zegarek o czymś gestykuje wskazówkami, coś jej nadaje tajemniczym alfabetem migowym. A ona ma odpowiedzieć na to wezwanie, czy wyzwanie. Okazuje się

więc, że tętni w nas jeszcze jakiś inny puls, intruz, jakieś nie-ja, a my realizujemy się dopiero jako byt ku śmierci. Żyjemy – bo umrzemy, żyjemy – bo umieramy. Punktem wyjścia jest tytuł wierszyka Gałczyńskiego. Zestawienie jest przewrotne, aura emocjonalna symboliki motyla kłóci się z symboliką zegarka. Motyl to ulotność, chwila, bez troska i barwna kolorystyka. Zegarek – to przyrząd bezduszny, we własnym porządku i trwaniu. E. Musiał próbuje w poemacie „pojąć to niepojęte przez nieuchronne” (J. Żernicki), bo wszystko jest już przesądzone. „Zegarek” był pisany z przerwami przez półtora roku. Autorka przywołuje w tym utworze Eliota i kilku poetów, także polskich (Żernicki, Wałkiewicz).

„Na zdjęciu wciąż żyjemy” – zdjęcie to obraz, przypomnienie, utrwalenie w naszej wyobraźni i pamięci. Także w pamięci kolejnych pokoleń. Nawet po śmierci fotografia jest przed nią ocaleniem. W tym poemacie historia przeplata się ze współczesnością. Są także ślady zdarzeń tragicznych, np. ostrzelanie afgańskiej wioski przez polskich żołnierzy. Oczywistym jest, że takie działanie człowieka powodujące śmierć i zniszczenie, prowadzi do destrukcji. Ale ten poemat mówi także o obcowaniu z ludźmi sztuki, kultury i filozofii oraz dziełami ich myśli i pracy. Podmiot liryczny nawiązuje z nimi kontakt, za ich pośrednictwem staje się sam artystą. „Dotykać skóry, ale tak, jak fresku Rafaela. A potem milczeć, jakby się szło przez cmentarze”. Człowiek w swoim dziele jest prawdziwy i trwały. Musiał często przywołuje w tym poemacie Giordano Bruno. Odnosi się także do Rafaela, Świrszczyńskiej, Salvadora Dali, Freddiego Mercury’ego, Dudy Gracza, Lorci, Gauguina, Gąsiorowskiego. Postaci, które tu się pojawiają, nie wprowadzają chaosu. Łączy je poczucie wartości ludzkiej myśli, ale też i działania (rzeź w Afganistanie). Tak więc w pamięci i historii pozostanie zarówno czynnik niszczący, jak i wolne, odkrywcze myśli oraz piękne, trwałe i wartościowe dzieła sztuki.

Przypisy, licznie zastosowane w poematach przez poetkę, swoiste didaskalia, nie rozpraszają uwagi – przeciwnie – wzmacniają warstwę poznawczą utworu, uzasadniając np. użycie dat, postaci, pojęć, faktów. Poszerzają skalę naszej wiedzy. E. Musiał pokazuje nam, że cały nasz świat i bagaż kulturowy jest odbiciem naszego dobra i zła, nas samych, naszego człowieczeństwa.

„Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych” poświęcony jest pamięci Babci Stefani. Bohaterka liryczna rozmawia ze swoją babcią. Jest to liryka przepelniona pojęciami, obrazami i refleksjami. Nasz czas to krążenie w przestrzeni zamkniętej. Bardzo licznie są tu wpisane epizody wspierające poemat. Autorka przywołuje postaci Einsteina, Miłosa, Kofty, Szyborskiej z jej kotem. Zapytuje w poemacie o „Ars bene moriendi” – sztukę dobrego umierania, dobrej śmierci. Stawia pytania ostateczne. Śmiałość i talent

E. Musiał poszerza horyzonty poetyckiego przekazu, nadaje rangę myśli. W swojej wypowiedzi nt. tego poematu Aldona Borowicz wskazuje, że centralne miejsce zajmują w nim zasady etyczne i sprzeczności świata, z którego odchodzi babcia poetki. E. Musiał prowadzi dyskurs, bez przemądrzania się i ogólników, z powagą.

To poezja skondensowana, balansująca na granicy mistyki i filozofii. W wierszach wyczuwa się też poczucie winy wobec ludzi, świata i siebie: *Boję się otwierać własne wiersze; / po tchnieniu w nie ciała / – lękam się ich rany.*

Język autorki poematów jest odkrywczy, ekspresyjny, odpowiednio jednoznaczny w swojej wieloznaczności. Stara się ona dojść do sedna wszechrzeczy, wyjaśnić skomplikowane mechanizmy, które rządzą ludzkim życiem. Operuje obrazem, metaforą, niedopowiedzeniem. To język pełen niepokoju i niepewności, ale i siły, poczucia „ubywania”. Pełne nadziei poszukiwanie przy świadomości daremności. A czas u niej jest wielowymiarowy, panoramicznie przedstawiony. Nasze przemijanie, upływ czasu, kres życia, nasza śmierć, są w wielu miejscach naraz. Nie da się zmienić toku czasu, nie można go zatrzymać, przyspieszyć ani cofnąć: „...Porozmawiajmy, już dnieje / a nic nie jest jasne...”

Nie sposób odnieść się tutaj do wszystkich wierszy i poematów Elżbiety Musiał. Na koniec pozwolę sobie przytoczyć kilka fragmentów, przede wszystkim z tomu „*Ja, o jednym imieniu*”, które mogą być fragmentarycznym choćby zobrazowaniem treści tej pozycji:

...Sam wiesz, że one, cisza i pustka, gdy załopoczą, mogą od środka rozsądzić skronie...

*...Internet doniósł, że swąd nadpalonego ciała ma zapach lukrecji.
Było to doświadczenie autoryzowane i aż trudno uwierzyć,
że zaledwie kilka kliknięć dzieliło mnie od ekscytującej wiedzy.*

Powiem to jeszcze raz

*Przegrałam.
Ja, o jednym imieniu, przegrałam podwójnie.
Nie mogą ujrzeć mnie w wierszu,
nie przejrzą się w obrazie. Wciąż jest albo nie teraz,
a częścię – po wszystkim.*

Czy to wystarczająca zachęta do wczytania się w poematy i wiersze Elżbiety Musiał? Która w Domu Literatury, w białej, śnieżnej sukni, zapewne stanowiącej symbol i nawiązanie do poematów, a może czystej i otwartej, niezapisanej jeszcze karty, pochylała się nad swoimi poetyckimi książkami. Intryguje ich szata graficzna i ciekawy format. Autorce wypada życzyć kolejnych. Ale czy odejście od tematów czasu i śmierci, w których powiedziała już tak wiele?

A oto wiersz z jej dawnego tomu „*Płacz czajki. Wiersze i poemat*”:

Higiena

*Grabię liście w ogrodzie. Narzędziem prostym jak nóż; co było – od nowego pora odciąć.
Grabię liście. Jak dobrze jest się tak zmęczyć.
Pot płynie – już prawie jest łzą czystą.
Obmywa rzetelnie szare bruzdy dni przeszłych*

Czuję, że mam mięśnie. Silne do kości. Mogą unieść kamień snu i rdzę jesieni. Mogą z liści i jesieni leczyć.

Anna Andrych

Lekarz – Poeta – Przyjaciel

Wykrusza się szereg przyjaciół, twórczych ludzi. W czerwcu 2014 roku odszedł na wieczną wartę zasłużony harcmistrz i żeglarz z Kolumny, Ryszard Karolczak (1932-2014), a 18 listopada również tego roku lekarz i poeta, Ryszard Kubiak (1931-2014), także mieszkawiec Kolumny, gdzie po studiach medycznych podjął pracę. Kierował miejscowym ośrodkiem zdrowia i leczył ludzi przez kilkadziesiąt lat.

Wkrótce też dał się poznać jako społecznik. M. in. przez bodaj dwie kadencje byliśmy tam obaj wybranymi radnymi – wówczas była to praca absolutnie społeczna. A nam – grupie młodych kolumnian tworzących amatorską estradkę artystyczną – jako autor wierszy. Był to przełom lat 50. i 60. ub. wieku, kiedy legendarną grupę poetycką „*Grabią 59*” wchłonął literacko Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Łodzi, zaś dwóch jej członków, Eugeniusz Iwanicki i Rafał Orlewski, przeniosło tę nazwę do Kolumny i pod nią utworzyło tam wspomnianą estradkę. Ryszard Kubiak z nią współpracował.

Większość ówczesnych grup literackich oraz amatorskich zespołów artystycznych było efemerydami – miało krótki żywot. Lecz na ich miejsce powstawały nowe. Pamiętajmy, że w tym czasie nie było telewizji, a gdy zawiątała w powojakach, to w 5-tysięcznej Kolumnie mało kto miał telewizor. Młodzież starała się więc zapelnąć kulturalną pustkę własnymi siłami.

Potem R. Kubiak utworzył swój zespół artystyczny o nazwie Relaksik, którego aktorami byli głównie pracownicy służby zdrowia. Miałem zaszczyt i przyjemność występować w „*Relaksiku*”, także pisać teksty dla niego. A Ryszard przewoził nas do Łasku na próby tego „*lirycznego kabareciku*” własnym trabantem. Również ten zespół (jak wcześniej druga „*Grabią 59*” oraz inny tamtych podobny, ale bardziej humorystyczno-satyryczny,

prowadzony w Kolumnie przez Henryka Prusisza występował przy pełnej widowni w różnych miejscowościach powiatu łaskiego.

Przez wiele lat Ryszard pisał wiersze do szuflady. Ich maszynopis powierzył mi dopiero w latach 90. minionego stulecia, co zaowocowało jego debiutem książkowym. Tak późny debiut drukiem miał swe źródło przede wszystkim w złym losie tej rodziny: tragicznie zginął syn, student medycyny. Z tej traumy Ryszard jakoś się wygrzebał, podejmując studia doktoranckie. Uwieńczył je zdobyciem tytułu doktora nauk medycznych. Jednak takie przeżycia nie mogły się nie odbić na jego zdrowiu, co po latach naraziło go na wiele cierpień i doprowadziło do kresu życia.

Pod koniec ub. wieku redagowałem i wydawałem serię pn. „*Piotrkowskie Zeszyty Poetyckie*”, mogłem więc zaofiarować Ryszardowi druk pierwszego tomiku. I tak w roku 1996 Ryszard Kubiak wszedł do rodziny polskich poetów zbiorkiem wierszy pt. „*Cisza nadziei*”. Ten i jeden z następnych inkrustował swymi grafikami Leszek Duda.

Tego samego roku ukazał się drugi tomik Ryszarda – „*Ucieczka w szarość*”, wydany w Łodzi. Trzecią książkę poetycką tego autora wydano w Sieradzu, tytuł: „*Znaki lęku*” (1998). Ale tomik czwarty ukazał się dopiero w 2007 roku. To „*W świetle zmierzchu*” (Łask). Książkowy dorobek poetki R. Kubiaka zamyka zbiorek „*Prośba o codzienność*” (Piotrków Trybunalski, 2011). Edycja ta zbiegła się z 80-leciem urodzin autora, który na świat przyszedł w Konstancynie k. Łodzi. Ale Ryszard publikował swoje wiersze – a wcześniej szereg prac naukowych z zakresu medycyny – w książkach zbiorowych: „*Wiara czy nadzieja*” (Łódź), „*Poeci Siódmej Prowincji*”, „*A duch wieje kędy chce*” (Lublin), „*Kwintet z Kolumny*” (Łask).

Jego wiersze drukowano też w różnych czasopismach, np. „*Panorama Łaska*”, „*Gazeta Kulturalna*”, „*Siódma Prowincja*”, „*Pomosty*”... I już pierwszy tomik wywołał spore zainteresowanie czytelników oraz znawców (naukowców i literatów), którzy na różnych łamach i na spotkaniach pisali, bądź mówili, pochlebne recenzje i eseje o tej poezji. Na spotkaniach z autorem, np. podczas promocji wydanej w Łasku książki „*Kwintet z Kolumny*”, publiczność szczerze wypełniała salę. W promocji tej książki brali też udział jej autorzy, czyli poeci związani z Kolumną: Andrzej Bulzacki, Ryszard Kubiak, Krzysztof Orlewski, Rafał Orlewski, Ryszard Wasilewski, wszyscy oni mający już własne książki poetyckie. Godzi się jeszcze raz podkreślić, że tę antologię wydano w Łasku!

O randze artystycznej poezji dr. Kubiaka można by napisać niejedną obszerną esej. *Nota bene* fragmenty recenzji są przytoczone we wspomnianym „*Kwintecie z Kolumny*”. Tutaj kilka zdań z eseju dr. Zdzisławy Pie-

(Dokończenie na stronie 20)

Lekarz – Poeta – Przyjaciel

(Dokończenie ze strony 19)

czyńskiej-Gąsior. Jej zdaniem, filozoficzno-metafizyczna poezja Ryszarda Kubiaka jest „kontemplacyjna, naznaczona goryczą humanistycznej refleksji. Nie brakuje jej odniesień do tradycji kulturowej (starożytna Grecja i Rzym). Nacechowana emocją, poszukująca postawa poety towarzyszy mu w wędrówce przez życie – w poszukiwaniu jego sensu. Z dojrzałym spokojem zmierza do celu. Za towarzyszy ma Poezję i Milczenie”.

Dodajmy: przez dorosłe życie miał też ukochaną Aldonę. Tom „W świetle zmierzchu” dedykował: „Żonie mojej – poświęcam”. Jego wiersze o miłości, np. *Erotyk z miodem*, *** *Rozwinął się kosmyk, Pólerotyki* – są subtelne i wzruszające. Oczywiście, osobno dałoby się sportretować Ryszarda jako lekarza, ale o tym najlepiej wiedzą tysiące pacjentów Doktora i Człowieka wielkiego serca, także niepospolitej dobroci.

Dla Kolumny, Łasku, całej Ziemi Łaskiej oraz przyjaciół i wszystkich, którzy Ryszarda Kubiaka znali, bądź kiedykolwiek się z nim zetknęli, odejście z życia tak wybitnej osobowości jest niepowetowaną stratą. Pozostała jego znakomita poezja. Niech zatem choć dwa wybrane jego wiersze przemówią w imieniu autora. A mojemu wspomnieniu, które jest pożegnaniem pokłonem, niech posłuży mój wiersz. I niech będzie łzą zadumy nad ludzkim losem.

Rafał Orlewski

Ryszard Kubiak

Dotyk twoją dłonią
mojej ręki
głaśnieć
powiew słabego wiatru
stał się wrotami
twojego wejścia
w moje trwanie
w sen niedopowiedzeń
i w radość której nie potrafiłem
stłumić

Nad Grabią

Na nadgrabiańskiej łące
muzykę traw słyszałem
poprzez zakręty rzeki

Grabia adagio nuciła
gdy w jej nurcie promień

rozpłaszczal się plamą
mnożona na krzywiznie brzegów

Patrzyłem w kosmos
a widziałem żabki zielone
i pszczoły drżące na stokrotkach

Z taką symfonią lipca
w ciszę wchodziłem
na nadgrabiańskiej łące

Rafał Orlewski

Tych którzy na kochają
nie mierzy się złotem

Ich serca się nie kładzie
na wymiernej szli –
im sędzią tylko miłość

Ten co chce taki klejnot
zmierzyć albo zważyć
jest jak zgnieciony orzech
bez ziarna we wnętrzu

Tych którzy nas kochają
nie sposób pożegnać
nawet gdy odejdą



Jeden z Bogów

Kto obejrzał film „Bogowie”, powinien jak najprędzej przeczytać biografię najszynniejszego polskiego kardiochirurga zatytułowaną po prostu „Religa”. Film nosi tytuł „Bogowie” i postać profesora Religi doskonale kreuje Tomasz Kot. Aktor powiedział, że granie profesora było dla niego nie tylko zadaniem aktorskim, ale też lekcją człowieczeństwa.

Genialny kardiochirurg brawurowo przeszedł przez swoje życie. Dużo pił, palił jak smok, kłął jak szewc, bywał niesprawiedliwy, narzucał mordercze tempo, bywał próżny. Ale stworzył z niczego wspaniałą klinikę w Zabrze. Niepotrzebnie tylko wdał się w politykę. kandydował na prezydenta RP. Był gigantem, który nie lękał się niczego, nawet szaleńczej jazdy samochodem. Nie pozwalał się wyprzedzać.

Chociaż był niewierzący, przygłębło do niego słowo „święty”. Miał do chorych świętą cierpliwość. Robił wszystko, co tylko było możliwe, aby ratować chorych. Zarażał swoim zapałem i poświęceniem dla ratowania ludzkiego życia. Przy Relidzie lekarzom rosły skrzydła. Był bezpośredni, szczery, pogodny.

Żona profesora, Anna Religa, opowiada o swoim mężu, że nie znosił kłamstwa, zwalania winy na kogoś innego, cwaniactwa. Miał swoje

rytuały. Wstawał wcześniej, o 6 rano, robił sobie śniadanie, brał prysznic, golił się, nastawiał radio. Rano chciał być sam, nie lubił, jak ktoś rano chciał z nim rozmawiać. Był szczęśliwy, gdy mógł zapalić i posłuchać Louisa Armstronga, Elli Fitzgerald, Elvisa Preslaya, Beatlesów. Albo poczytać. Miał całą bibliotekę książek o filozofii, ekonomii, polityce, wędkarstwie...

Ot, jeden z bogów!

Emil Biela

Dariusz Korytko, Judyta Watola, „Religa”. Wydawca: Agora SA, Biblioteka „Gazety Wyborczej”, Warszawa 2014, s. 320 + wiele fotografii.

Jak uwolnić z niebytu Jalu Kurka i Kornela Filipowicza?

Kiedy żyli, byli wydawani, obecni w świadomości czytelniczej. gdy ich zabrakło pośród żywych trafił do literackiego niebytu. Myślę w tym wypadku o Jalu Kurku (1904-1983) i Kornelu Filipowiczu (1913-1990). Dobrze się stało, że chociaż w dwudziestą rocznicę śmierci ukazała się książka przywołująca Kornela Filipowicza, zatytułowana bezpretensjonalnie: „Byliśmy u Kornela”. Znakomitego prozaika, mistrza adeptów literatury przywołują jego przyjaciele. Swoimi wspomnieniami dzielą się m.in.: Urszula Koziół, Ewa Lipska, Włodzimierz Maciąg, Artur Samndauer, Jan Józef Szczepański, Krystyna Szlaga, Wisława Szymborska, Adam Zagajewski, Tadeusz Chrzanowski, Karl Dedecius. Ten ostatni nazywa Filipowicza idealnym przyjacielem. Natomiast Jerzy Pilch wyznaje: „Nie dziwię się ani sobie, ani innym grafomanom, ani utalentowanym kolegom, że pielgrzymowaliśmy do Kornela na ulicę Dzierżyńskiego (obecnie Lea) tak zajadło i tak masowo. Pielgrzymowaliśmy do Niego, bo w Nim była wielka siła pisarskiego przyciągania, magnetyzmu pisarskiego, posiadał On wszelakie nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne atrybuty majstra cechu pisarskiego”.

Rodzi się pytanie: Kto zadba, aby z edytorckiego niebytu wyprowadzono Jalu Kurka i przypomniano jego książki: „Janosik”, „Księga Tatr”, „Pod przełęczę”, „Świnia skał, Mitologia Tatr” i wiele innych, nie wspominając licznych tomów wierszy albo książek biograficznych o autorze „Grypy szalejącej w Naprawie”, autorstwa Elżbiety Cichla-Czarniawskiej: „W drodze do wichru” czy „Heretyk awangardy – Jalu Kurek”.

Emil Biela

„Byliśmy u Kornela. Rzecz o Kornelu Filipowiczu”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 320.

Filozofia codzienności (102)



Prawo pozytywne jest środkiem sterowania społeczeństwem, zwłaszcza że prawo może przekształcać psychikę jednostek; może zaszczebiać ideały. Warto wyrwać się z oczekiwaniami, że inni jakoś rozstrzygną ogólne problemy. Pora zacząć wyrażać niezadowolenie z regulacji prawnych nie w zaciszu domu, lecz publicznie demaskować wyraziste niedomagania.

Trudno przeprowadzić linię demarkacyjną między sprawą wspólną a indywidualną. Każdy jest uwikłany w problemy zbiorowości. Od czasów najdawniejszych ludzkość walczyła o sprawiedliwe prawa, w przekonaniu że przyniosą one przede wszystkim wolność. Obywatelom prawo pozytywne ma zapewnić równe obszary wolności, w obrębie których ich poczynania nie podlegają ingerencji władzy państwowej. I tu zaczyna się oddziaływanie kodeksów etycznych poszczególnych zawodów. Warunkiem moralności jest bowiem zagwarantowana wolność.

Mozna wyobrazić sobie każdego obywatela jako kropkę – centrum koła. Średnice wszystkich kół są równe. Tyle daje ze swej strony państwo. Wolność gwarantowaną przez prawo każdy napelnia własnym sensem. W takim samym więc stopniu wolność człowieka jest zależna od prawa, jak i od niego niezależna. Prawo umożliwia podejmowanie swobodnych decyzji w obrębie owych zakresów wolności. Określa miarę wolności, lecz nie jej treść.

Rozgraniczenie prawa i moralności ma swoją długą historię. Już Sokrates w tej części swojej obrony, która została wygłoszona po zapadnięciu skazującego wyroku, upomina swoich sędziów, przemawiając do ich poczucia moralnego. Jednocześnie uznaje legalność ich wyroku, poddając mu się bezwzględnie i odrzucając propozycję ucieczki.

Prawo, podobnie jak moralność, powinno mieć oparcie w wyższych wartościach, bowiem inaczej jego uzasadnieniem staje się siła fizyczna. Począwszy od XVIII wieku, filozofowie zaczęli przyjmować całkowite rozróżnienie prawa i moralności. Najogólniej rzecz biorąc, w myśl tych poglądów, prawo reguluje zewnętrzną sferę postępowania człowieka; moralność reguluje sferę wewnętrzną człowieka.

Najwyraźniej rozdzielenie prawa i moral-

ności uzasadnił Kant. Wielu myślicieli wskazuje obecnie, że na straży przestrzegania prawa stoi państwo, zaś przestrzeganie moralności wypływa jedynie z przeświadczenia o jej słuszności. Karą za naruszenie norm moralnych jest niezadowolenie z siebie, wewnętrzna dysharmonia, jak również negatywna ocena środowiska. Pogląd przeciwny, o ścisłym związku porządku prawnego i moralnego głoszą m.in. filozofowie chrześcijańscy, a w tym tomiści.

Prawo odnosi się do człowieka z punktu widzenia skutków jego postępowania wywieranych na inne osoby. Dotyczy więc sfery współżycia i współpracy jednostek. Jest czymś wobec człowieka zewnętrznym, rodzajem pajęczyny czy raczej sieci ze stalowych lin, w której rozwijają się relacje między ludźmi. Prawo jest niezbędne dla zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa. Dzięki uporządkowaniu życia społecznego człowiek nie odczuwa stanu zagrożenia i niepokoju, może kształtować siebie jako indywidualium i jako obywatela. Prawo jednoczy obywateli należących do rozmaitych grup światopoglądowych. Gwarantując sferę wolności, stanowi podstawę dla możliwości dokonywania wyborów moralnych.

Jose Ortega y Gasset, wybitny filozof hiszpański XX wieku, pisał z niepokojem o powstaniu „człowieka stadnego”. Jego zdaniem uczeni i specjaliści należą właśnie do tego gatunku ludzi. Historia wykazuje, że człowiek nauki, w tym farmaceuci, coraz bardziej się zamykają w swojej dziedzinie. Traci się stopniowo kontakt z dziedzinami innymi niż własna specjalizacja. Za zaletę uznaje się brak zainteresowania tym, co pozostaje poza uprawianą wąską specjalnością.

Indywidualizm nie jest obecnie tak wysoko oceniany, jak miało to miejsce na przełomie XIX i XX wieku. Jednostka, na co wcześniej już zwracał uwagę Karl Jaspers, przystosowuje się do tego, co przeciętne i zarazem statystycznie przeważające. Poczucie godności odnajduje w pojęciu „my”.

Farmacja przyciąga coraz bardziej zainteresowanie ogółu. Jej rozwój budzi nadzieje i niepokoje. Aptekarz - praktyk obowiązany jest stosować tę wciąż rozwijającą się wiedzę do zaleceń leczniczych. Niespotykane dotąd tempo rozwoju przemysłu farmaceutycznego, produkcja wciąż udoskonalanych leków, rodzi wiele dylematów moralnych. Nie rozwiąże się ich bez pomocy filozofii farmacji.

Fakty współczesne i historyczne wskazują, że natura człowieka nie udoskonaliła się. Tkwią w nas te same, co przed wiekami, namiętności, pożądania, pragnienia, uczucia nieprzyjemne, powściągnięte bardziej skutecznie udoskonalonym systemem prawnym. Katastrofy dziejowe wyraziście to ilustrują, bowiem słabnie wtedy powściągnięta siła przymusu prawnego.

Kształtowanie się człowieka jako obywatela wymaga w naszych czasach przywrócenia

pewnych wartości wyznawanych na przełomie XIX i XX wieku. Dotyczy to w szczególności sposobów farmaceutów i lekarzy. Idzie głównie o znaczenie ideałów, a więc wartości wyższych; dążenie do nich wznosi nas ponad poziom biologiczny i materialny.

Utrudnieniem w kształtowaniu postaw obywatelskich wśród farmaceutów jest brak żywych wzorów do naśladowania. Pamięć tych, znanych z tradycji, nie jest wystarczająco mobilizująca.

Żywe wzory są szczególnie potrzebne w społeczeństwie demokratycznym, by nie pozwolić na szerzenie jednego tylko modelu człowieka. Brakuje także funkcjonującego powszechnie wzoru aptekarza. Literatura piękna i filmy nie przyczyniły się dotąd do wytworzenia go, aczkolwiek przynoszą wzory postaw, na przykład, lekarzy.

Kształtując wzory do naśladowania, powinno się odrzucić następujące błędne kryteria oceny wartości człowieka: poziom majątkowy, stopień wykształcenia, zawód, miejsce w hierarchii społecznej. Natomiast należy uwzględnić: poziom kultury osobistej, stopień rozwoju emocjonalno-wolitywnego, zgodność przekonań, słów i działań, charakter, umiejętność przewidywania skłonności konformistycznych i oportunistycznych, wierność ideałom uznawanym przez siebie za słuszne. Wzorem człowieka jest ten, kto nie usiłuje przystosowywać się do świata, który jest - lecz przekształca świat w kierunku stanu uznawanego przez siebie za słuszny.

9.

Zagadnienie etyki uniwersalnej

Po to, by móc swobodnie rozwijać się jako obywatel, w tym obywatel-farmaceuta, trzeba doprowadzić do przełamania stanu próżni filozoficznej w Polsce. Do kształtowania obywatelskości przyczyniłoby się krzyżowanie w społeczeństwie rozmaitych poglądów na świat, a ich warunkiem jest oddziaływanie filozofii w wielości jej nurtów. Powszechnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że powstrzymanie się przed ustaleniem w sposób bezwzględny słuszności określonego światopoglądu wiąże się najściślej z istotą ustroju demokratycznego.

Bardzo cenne jest wskazywanie przez prof. Jerzego Masiakowskiego, że farmaceuta ma być nie tylko specjalistą, człowiekiem kompetentnym zawodowo i etycznie, ale także osobą mającą do spełnienia doniosłe posłannictwo. Filozofia farmacji przyczyniłaby się w istotny sposób do ukształtowania właściwego modelu absolwenta.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Napijmy się dżinu**

– Ja, Luna – powiedziała Luna, piwnooka, jak heban czarnowłosa. – Ja, Luna – powtórzyła Luna. – Jestem jak złota struna, napięta, podniecona, podekscytowana od samego rana, gdy słyszę w *salonie mych myśli*, w teatrze naszego słowoczyynu, gdy słyszę napijmy się dżinu! Napijmy się dżinu!

Właśnie, właśnie, napijmy się dżinu! Ja Wiosna – mówi Wiosna, błękitnooka i złotowłosa. Miałam dobrego nosa, że przyniosłam lubuski dżin zamiast, Boże broń, jakiegoś papierosa. Nasz Autor dobrze wie. Nasz Autor wie co pisze. Ja, Wiosna, biorę tekst do ręki jakby to był kieliszek.

*Ogrzani sobą chcemy kochać
kamienni z zimna czekamy na miłość
w czarnej wodzie księżyc płąsa
jakby się napił dżinu*

*oto ulice mają zapach śmierci
oto ulice mają twarze panter
w czarnej rzece utonął śpiewak
księżyc jak zmięty papier*

*kto słyszał grającą gitarę
kto widział pękniętą strunę
powiedzieli
że najgłębiej pod mostami
i poszli się zalać Pod Neptunem*

Filozof Pan Nietwór w *salonie mych myśli* jako Sokrates, Platon i Seneka wznosi okrzyk jak grecki Archimedes – woła, Eureka! Eureka! Nasz Autor dobrze wie. Nasz Autor wie, co pisze.

Pan Nietwór bierze do ręki tekst jakby to był kieliszek i czyta.

*Wentylatory są nieczynne
dlatego tak duszno
lepiej się dżinu napijmy
moja dziewczuszko*

*najlepiej jest
o niczym nie myśleć
niech czas
jak meteor przepada*

*lepiej się dżinu napijmy
powiadam*

A w *salonie mych myśli* asystent Daniel Spaniel. Popatrzcie, włosy blond a w oczach niebo, no i łąd. Pół na pół, pół na pół. Dla umiaru góra, dół. A w *salonie mych myśli* okrągły stół, przy którym siedzimy patrząc na Daniela, a Daniel się rozwesela. Nasz Autor dobrze wie. Nasz Autor wie, co pisze – powiada Danie Spaniel, łapiąc się za kieliszek i czyta z pamięci.

*Czarny jest dżin który piję
złote są twoje włosy
dzięką nas: twoje złoto
i czarny dżin po mojej*

*a nam
się czerwień róży śniła
noc bez upiora
ach tyle cudności
i nagle co
szklanka się zbita
i nagle co
już po miłości
a nam
się czerwień róży śniła
i nagle co
szklanka się zbita*

Siedzę przy okrągłym stole, a Wiosna się krząta sprawując swe wiosenne rządy w *salonie mych myśli*, a Luna ochoczo i sprawnie pomaga. Jest pierwszy dzień wiosny podany nam złotą dłonią słońca. 21 dzień marca roku 2015. Światowy dzień poezji. W *salonie mych myśli* słychać śmiech. Śmieją się wszystkie meble do swych kolegów i swoich koleżanek na całym świecie. Meble wyobraźni. Filozof Pan Nietwór z Danielem Spanielem rozmawiają o przemocy człowieka nad człowiekiem, stanowiącej historię naszej ludzkości. Rozmawiają o szaleństwie, dureństwie, okrucieństwie i nudzie życia, które w codziennym piekle rzeczywistości przyczynia się i powoduje ucieczkę człowieka w stan odurzenia i obłądzenia, w stan zapomnienia o lęku i bólu istnienia.

– Stąd się biorą alkoholizm i narkomania – powiedział Daniel Spaniel.

– Stąd się biorą fanatyzm, terroryzm, depresje i samobójstwa, wojenne inwazje, wielopostaciowa ideomania i wszelka grafomania – oznajmił filozof Pan Nietwór.

Ja też powiem, ja też oznajmię.

*Oni myślą
że się ulecą flaszką
więc myślą
że zmartwychwstaną
a spleen się zagnieżdżył
rakiem pod czaszką
i diabła jest wart
pijacki anioł
a tej dziewczyny
już nie ma
na którą
ja właściwie czekam
ona się rozplynęła
ona się gazem otrula
stwierdził lekarz
i tej dziewczyny nie ma*

P.S.
*Ładna dziewczyna
poszła w świat
bezmysłna dziewczyna*

*w modnej sukience
i chciała sprzedać
tanio jak barszcz
mikroskopijne serce*

– Ludzka wada. Trudna rada. Lepiej się dżinu napijmy, powiadam – powiedział filozof Pan Nietwór i się rozmyślił w jednej chwili. A myśmy swoje już wypili.

– Nasz Autor dobrze wie. Nasz Autor wie, co pisze – zakończył rzecz Pan Nietwór i gołną swój kieliszek.

Renata Grześkowiak**Nałóg**

wyszedł po papierosy
za przysłowiowy róg
(oni tak wychodzą)

nie wiem czy kupił
nie wiem czy zapalił
zapalkami które po nim zostały
spaliłam drogę powrotną

Gorycz

posadziłeś piotun
w centrum naszego życia
ani go obejść
ani przeskoczyć
gorzki smak pocałunku
świadczy
że nie posadzimy już
wspólnego drzewa

Ciałokształtem...

ciałokształtem mówię do ciebie
cząstka mnie
zaznacza obszar własności
wijesz się pod meandrami
dotyku ust
patrzę...
oczy mówią najgłośniej
ciałami kształtujemy
przyjemność
stymulując natężenie
do granic rozkoszy
patrzysz...

oczy pieczą duszę

* * *

za każdym razem
inaczej
dopasuję siebie
do prędkości życia
aż zegar stanie.

POEZJA

Jewgienij Czigrin, „Poganiacz. Wiersze wybrane”. Przełożył z rosyjskiego Władimir Sztokman. Redaktor: Dariusz Tomasz Lebioda. Projekt okładki: Władimir Sztokman. Zdjęcie na okładce: Marina Swinina. *Biblioteka „Tematu”*, tom 87. Bydgoszcz 2015, s. 42.

Waldemar Kontewicz, „Appendix”. Na 4 stronie grafika Janusza Stobińskiego. Opracowanie graficzne: Yarek Dąbrowski. Zdjęcie autora: Iwona Wolska-Kontewicz. *Czwarta bibliofilska seria poetycka*, tom I. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2014, s. 20.

Dariusz Tomasz Lebioda, „Sprzedawca skowronków”. Przekład na język chiński: Zhao Si. Przekład na język angielski: Alina Jelińska-Żelazny. Fotografie: Dariusz Tomasz Lebioda. Fotografia na okładce: Shutterstock.com. Projekt graficzny: Tomasz Lebioda. *Biblioteka „Tematu”*, tom 70. Bydgoszcz 2013, s. 142, w tym fotografie.

Dariusz Tomasz Lebioda, Żółty oleander. Przekład na język arabski: Hatif Janabi. Fotografie: Dariusz Tomasz Lebioda. Fotografia na okładce: Shutterstock.com. *Biblioteka „Tematu”*, tom 80. Bydgoszcz 2014, s. 118, w tym fotografie.

Mirosław Mrozek, „Horyzont zdarzeń”. Grafika na okładce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. *Kolekcja Elewatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin 2014, s. 56.

Gloria Nistal, „wiosna en varsovia /primavera en varsovia”. Przełożyły: Magdalena Claver Pater, Krystyna Rodowska. Projekt graficzny: Sylwia Tulik. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2014, s. 80.

Rafał Orlewski, „Ogródek bez ogródek. Fraszk”. Redakcja, skład i projekt okładki. Wybór fraszek: Rafał Orlewski. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piórków Trybunalski 2015, s. 100.

Marcin Orliński, „Zabiegi”. Autor okładki i koncepcji graficznej: Piotr Zdanowicz. *Biblioteka Prozy Współczesnej*, tom 4. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2014, s. 80.

„Pieśni stopni. Psalm 120-134”, przekład biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich. Roman Bąk – *Wiersze*. Na okładce *W Tatrach*, fotografia Mateusz Bąk. Opracowanie okładki Justyna Nowaczyk. Biblioteka Telgte Wydawnictwo, Poznań 2014, s. 48.

Jacek Puchalski, „Nie dano mi skrzydeł”. Projekt graficzny okładki: Sylwia Tulik. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2014, s. 72.

Tadeusz Różewicz, „Wiersze przeczytane”. Opracowanie: Jarosław Borowiec, Dawid Skrabek. Projekt graficzny: Ryszard Bienert. Fotografie: Elżbieta Lempp. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2014, s. 102 + CD.

Janina Barbara Sokółowska, „Deklinacja. Wiersze dawne i nowe”. Posłowie: Marian Kisiel. Projekt

okładki i grafiki: Wojciech Luka. ADVERT STUDIO, Chorzów 2014, s. 76.

Dariusz Sońnicki, „Spóźniony owoc radiofonizacji”. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 112. Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 60.

Jan Sztudynger, „Piórka”. Wybór: Anna Sztudynger-Kaliszewiczowa. Projekt okładki i stron tytułowych z wykorzystaniem rysunku Mai Berzowskiej Dymitr Szewionkow-Kismielow. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014, s. 204.

Jolanta Szwarz, „Tik-tak drobny mak”. Zdjęcia: Stanisław Szwarz. Projekt okładki: Tomasz Magowski. Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2014, s. 50.

Stanisław Szwarz, „Obrazki z Edenu”. Projekt okładki: Tomasz Magowski, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2014, s. 56.

Julia Szychowiak, „Intro”. Projekt okładki i rysunki: Wojtek Świerdzewski. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 113. Biuro Literackie, Wrocław 2014, s. 40.

Paweł Targiel, „O tyle więcej. Wiersze z lat 1970-2009”. Wybór, układ, redakcja i przedmowa: Wacław Tkaczuk. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Fotografia na okładce: Tadeusz Sobolewski. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 105. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, s. 128.

Mirosław Welz, „Po drodze”. Opracowanie graficzne: Sylwia Tulik. Fotografia na okładce: *Lusterko, iść po śladach* Przemysław Jerzy Chmielewski. Wydawnictwo Lisia Góra, Rzeszów 2014, s. 84.

Agnieszka Wolny-Hamkało, „Występy gościnne”. Projekt graficzny: Karna Sokolnicka. Wydawnictwo Igloo, [bez miejsca i daty wydania], s. 48.

Andrzej Wołosewicz, „Każydy twój krok prowadzi nad Styks”. Fotografie: Alexandra Hinz-Władka / NordArt. Opracowanie graficzne: Konrad Kowalczyk. Projekt okładki: Konrad Kowalczyk. *Zaulek* Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 58.

Maciej Woźniak, „Pocztówki dźwiękowe”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Fotografia autora na okładce: Marcin Sudziński. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 107. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, s. 36.

Piotr Zawadzki, „Defenestracja”. Projekt okładki, ilustracje: Jolanta Wawrzonek. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda, [bez daty wydania], s. 50.

Piotr Zemanek, „Południk Greenwich”. Grafika na okładce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. *Kolekcja Elewatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin 2014, s. 44.

Edward Zyman, „Poemat współczesny”. Na stronie 4 grafika Janusza Stobińskiego. Opracowanie graficzne: Yarek Dąbrowski. Zdjęcie autora: Piotr Zyman. *Czwarta bibliofilska seria poetycka*, tom 2. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2014, s. 20.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Wojciech Skrodzki, „A casaccio. Memorie ed immagini di alcuni eventi dell'arte polacca dalla meta degli anni'90 ad oggi”. Projekt graficzny: Pangea. Wydawnictwo Pracownia, 2014, s. 240.

Paweł Smoleński, „Szcze ne wmerła i nie umrze. Rozmowa z Jurijem Andruchowyczem. Projekt okładki: Fajne Chłopaki. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Fotografia na okładce: Paweł Smoleński. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 174.

Jerzy Stempowski, „W dolinie Dniestru. Pisma o Ukrainie”. Wybór, opracowanie, posłowie: Andrzej Stanisław Kowalczyk. Opracowanie graficzne: Janusz Górski. *Biblioteka „WIEZI”*, tom 301. Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2014, s. 386.

Katarzyna Szojda, „Bajkonur czyli nura w bajkę”. Ilustracje: Irena Kiełtyka, Dorota Molenda, Wioletta Sarota-Stach, Zbyszek Karoń. Drukarnia Grafpress, Olkusz 2014, s. 64.

Maria Szyszowska, „Człowiek uwikłany. Ideały jako drogowskazy”. Zdjęcie na okładce: Beata Jaśniak. Rysunki: Jan Stępień. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2015, s. 212.

Krzysztof Środa, „Projekt handlu kabardyńskimi końmi”. Projekt okładki: Maciej Konopka / Brandy Design. Projekt typograficzny: Robert Oleś / did.pl. Fotografie na okładce: Krzysztof Środa. Ryciny na okładce pochodzą z zbiorów Francuskiej Biblioteki Narodowej. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 144.

„Tani drań. Wiesław Michnikowski w rozmowie z Marcinem Michnikowskim”. Projekt okładki: Zbigniew Larwa. Zdjęcie na okładce: Bartłomiej Zborowski / FORUM. Projekt graficzny: Ewa Wójcik. Prószyński i S-ka, Warszawa 2014, s. 306, w tym fotografie.

Mariusz Urbanek, „Genialni. Lwowska szkoła matematyczna”. Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Ilustracja na obwolucie: Marek Szyszko. Zdjęcia w książce pochodzą z PAP Foto, Narodowego Archiwum Cyfrowego oraz archiwum Iskier. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2014, s. 284, w tym fotografie.

[ad]



Rys. Barbara Medajska

W „Rzeczpospolitej Plus Minus”, numer 13/2015, wywiad Jana Bończy-Szblowskiego z Anną Polony:

Jan Bończa-Szblowski: – W przesłaniu na tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru Krzysztof Warlikowski zwrócił uwagę, że mistrzów dla teatru warto szukać z dala od niego, i podał przykłady Kafki, Manna czy Prousta, a także Coetzego. Wszyscy oni umieli trafnie postawić diagnozę zagrożeń współczesnego im świata...

Anna Polony: – To ciekawe przesłanie. Myślę jednak, że niepokoję wypowiedziane w literaturze przez wspomnianych twórców zabrzmiały także w teatrze, choćby u Brechta. Ale spójrzmy na historię naszego powojennego teatru. W okresie komuny czy szalejącej cenzury ważne przesłania można było znaleźć w spektaklach Jerzego Grotowskiego, Jerzego Jareckiego, Andrzeja Wajdy czy, oczywiście, Konrada Swinarskiego. Jeżeli Krzysztof Warlikowski sugeruje, że dzisiejsze czasy nie wydały dramaturga, który potrafiłby im sprostać, pewnie ma rację. Być może we współczesnej literaturze nie ma sztuk, które z całą głębią i mądrością oddawałyby złożoność naszej cywilizacji. Cywilizacji, która przez pędzący postęp techniczny zabija w ludziach duszę. Z doświadczenia jednak wiem, że mistrzowska interpretacja klasyki, niewykrzywająca wielkich dzieł literatury dramatycznej i nieprofanująca ich, może dać widzowi więcej do myślenia niż niektóre współczesne sztuki i niektóre dzisiejsze przedstawienia. Oczywiście teatr musi podążać za zmieniającą się nieustannie rzeczywistością. Poszukiwanie przez artystów nowych form jest normalne i konieczne. Ale na awangardzie nie można opierać całej sztuki teatru, która powinna przecież powstawać nie tylko dla krytyków, nie tylko dla naszego środowiska oraz tych, którzy marzą o stwarzaniu nowych, odmiennych stylów. Teatr ma służyć także widzowi pragnącemu w nim znaleźć bardziej tradycyjne środki wyrazu. I dlatego zwracam się z apelem do artystów, żeby pamiętali nie tylko o widzu dwudziestolecia, ale też o tym średniego i starszego pokolenia, który chce przychodzić do teatru.

Przeżywać razem z bohaterami ich losy, wrzeszczać się z nimi, płakać i śmiać. A potem zastanawiać, czy ich postępowanie było słuszne. Czy potępiać ich, czy afirmować. (...)

„Wysłała u nas ostatnio w Wydawnictwie Czarne, książka V.S. Naipaula, »Maska Afry-

ki. Odsłony afrykańskiej religijności«. Ważne wydarzenie, nie dlatego jednak, że w tle majączy literacki Nobel z 2001 roku i wielkość pisarza, tylko dlatego, że bywa tak czasem, między jego pisaniem a mną powstała więź – i nic na to nie poradzę. Tak bywa z książkami. Nie można się przed tym bronić, uważam, bo to błogosławione przedłużenie dzieciństwa, tych wszystkich lektur pod kołdrą i zakochania w bohaterach, tu przeniesionego na dorosłość – nieco wiarę w słowo i zaufanie do człowieka, który je zapisał – pisze Wojciech Nowacki w „Tygodniku Powszechnym”, numer 13/2015.

Naipaul więc. Naipaul, którego powieści nie trąciły żadnej czulej struny, nic, dźwięk pustoty. Ale potem przyszyły wyjazdy do Indii, lata temu, wraz z nimi jego reportaże; to właśnie on za rękę mnie prowadził. W jego wyciu wścickłym, w przestrachu, odnalazłem własny skowyt i przestrach przed tym krajem.

»Jest taka historia o Sikhu, który po wielu latach wrócił do Indii, usiadł pośród swoich walizek w dokach Bombaju i zapłakał. Zapomniał, jak wygląda indyjska bieda«. I dalej o tym, że Andhra – dzielnica biedy w najbiedniejszym (wówczas) kraju świata – dostarcza dowodów na to, że ewolucja może się cofać. Obrazki, o których zapomnieć trudno, gdzie defekacja łączy się ze śmiercią, a wszystko w smrodzie, duszności, bezradności całkowitej, obezwładniającej. To wszystko w »An Area of Darkness« z 1964 roku, wczesnej książce (i nadal u nas niewydanej), jednym z najbardziej przyniatających świadectw, tym bardziej wiarygodnym, że pochodzącym od Hindusa. Ten szczupły tom to obrazoburczy portret nieznanego kraju, którym było wypełnione całe dotychczasowe życie rodziny Naipaula: mieszkali na Trynidadzie, ale ich prawdziwe życie, to dziejące się w głowie, było tam, w Indiach.

Podróż młodego Naipaula to wszystko niweczy. Widzi kraj, z którego pochodzi jego rodzina, i czuje odrazę. Czytałem tę książkę tam, ze zdziwieniem odnajdując się w jego oburzeniu i niemocy. Stąd się czasem biorą bliskości, na które nie ma rady”. (...)

„W dzieciństwie zapytałam o Feliksa Dzierżyńskiego moją babcią, pochodzącą z przedwojennych Kresów Wschodnich. Odpowiedziała: »Ich majątek był niedaleko naszego – a popatrz, co się z nim stało«. Było dla niej oburzające, że polski szlachcic został bolszewikiem. Zawsze mnie zastanawiało, że tak niewiele dzieliło w dzieciństwie Felisia (jak nazywała go matka) i małą Halinkę. Może nawet bawili się podobnie – a ich losy

potoczyły się tak bardzo inaczej. Nigdy nie przestało mnie ciekawić dlaczego – pisze Karolina Wigura w „Gazecie Wyborczej”, numer z 28-29 marca 2015 roku.

W Polsce te dwa słowa – »Feliks« i »Dzierżyński« – niosą ze sobą sprzeczne treści. Pisano o nim jako o człowieku z twarzą »błada, nieprzytomna, o zapadłych, zimnych, zezowatych oczach«, pałającym »nienawiścią do całego świata« (Ferdynand Antoni Ossendowski w biografii Lenina). Zarazem złośliwe powiedzenie o nim brzmi przecież, że to najbardziej ukochany przez rodaków emigrant. Bo który Polak zabił więcej Rosjan niż on? Dlatego książkę Sylwii Frołow »Dzierżyński. Miłość i rewolucja« wzięłam do rąk z olbrzymim zainteresowaniem. Swego bohatera, niedoszłego księdza katolickiego, gorąckowistego kochanka, gruzlika i oddanego aż po skrajne okrucieństwo »sprawie« komunistę, nazywa Frołow drzazgą tkwiącą w naszym dobrym samopoczuciu narodowym. Dystansuje się zarówno od zjadliwych wspomnień o Feliksie pisanych przed 1939 roku, jak i propagandowych biografii pisanych po roku 1945. Dla niej ten człowiek to wielka zagadka, na miarę Stawrogina i Iwana Karamazowa.

Dlaczego Polacy myślą o Dzierżyńskim z taką pogardą? Jak z chłopca bawiącego się w »pałkę-stukałkę« i przeskakiwanie krów na szczudłach rodzi się nihilista? I wreszcie czy naprawdę istnieją, jak mówi się po angielsku, *moral monsters*, moralne potwory? Czy też są tylko potworne czyny? (...)

[adj]



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.